

Storyteller, not writer

<http://xmetelica.eu>

I Rozdział – Mupoks

Mupoks było niewielką osadą, jak wiele innych miejscowości rozsianych po całym Cesarstwie. Położone na południowo-zachodnich obrzeżach państwa, nie zwracało niczyjej uwagi, wypełnione najzwyczajszymi drewnianymi domami, wybudowanymi ciasno obok siebie, najczęściej z jedną wielką izbą i dachem pokrytym słomą. Na samym środku miasteczka znajdował się niewielki plac z kilkoma straganami, gdzie kupcy zachwalali produkty miejscowych rzemieślników, a gospodarze, których pola rozsiane były po całej okolicy, starali się sprzedać owoce swojej ciężkiej pracy. Z placu wychodziły w różnych kierunkach trzy ulice, nazywane przez mieszkańców kupiecką, świątynną i morską.

Na tej pierwszej, prowadzącej ku bramie wschodniej, było zawsze najwięcej ludzi, ponieważ tutaj znajdowała się większość warsztatów rzemieślniczych oraz gospoda.

Ulica świątynna, wypełniała się ludźmi tylko w czasie największych uroczystości, gdyż wszyscy byli zobowiązani do uczestnictwa w obrzędach ku czci cesarza i składania obowiązkowej daniny. Przed wejściem do świątyni zawsze płonęły dwa znicze, a ze środka wydobywał się intensywny zapach kadzidel i różnych ingrediencji, których kapłani używali w codziennym kulcie. Był to też jedyny budynek w osadzie wybudowany z kamienia. Poza czasem świątecznym można było tu spotkać tylko mieszkańców idących do swoich domów z innych części osady oraz podróżnych korzystających z bramy północno-zachodniej. Zaraz obok świątyni, znajdował się dom zielarza, którego głównym zadaniem było zaopatrywanie świątyni w kadzidła. Sam zielarz sprzedawał także różne eliksiry, jednak ze względu na wysoką ich cenę, mogli na nie pozwolić sobie tylko nieliczni mieszkańcy Mupoksu.

Trzecia ulica, nazywana morską, wychodziła z placu w kierunku bramy południowo-zachodniej, za którą rozciągały się rozległe równiny oraz pola uprawne.

Życie w Mupoksie płynęło swoim spokojnym rytmem z dala od wielkich spraw tego świata. Do najbliższego dużego miasta, Segardu, będącego stolicą prowincji, było ponad dwieście mil, nie wspominając o stolicy Cesarstwa, która w świadomości mieszkańców stała się czymś w rodzaju mitu czy legendy. Stąd podróże mupoksian prowadziły najwyżej do kilku wiosek, położonych w pobliżu. Tym bardziej, że dalsze wyprawy zazwyczaj wiązały się z ryzykiem spotkania bandytów lub stada dzikich zwierząt, których nie brakowało w okolicy. W tym względzie najgorszą sławą cieszył się Zakazany Las - do niego bali się wchodzić nawet wartownicy, którzy odpowiadali za bezpieczeństwo w osadzie i pilnowali bram miasta.

Największą atrakcją Mupoksu była gospoda Pronibus, znajdująca się zaraz przy placu handlowym. Był to dwupiętrowy budynek, jeden z największych w całym mieście, dzięki czemu był doskonale widoczny i od razu rzucił się w oczy po wejściu do osady. Na parterze znajdowała się sala dla gości - na środku stał długi drewniany stół, a przy nim szerokie ławy do siedzenia, natomiast w kątach izby ustawiono cztery mniejsze stoliki z mnóstwem krzeseł z każdej strony. Obok znajdowała się kuchnia, z której każdego dnia, dolatywały zapachy zupy, pieczonego mięsa, gotowanych warzyw oraz piwa, a ślady tego trunku widać było na każdym fragmencie podłogi. Zaraz obok kuchni była izba dla

służby oraz stajnia, natomiast na pierwszym piętrze znajdowały się cztery pokoje dla gości oraz niewielkie mieszkanie gospodarzy, wygodne i urządzone ze smakiem.

Gospoda należała do państwa Abbatellich, prowadzących ją od czterech pokoleń. Było to miejsce spotkań przyjezdnych kupców, cesarskich żołnierzy oraz miejscowej społeczności, która choć przyzwyczajona do spokoju i rutyny, mimo wszystko była żądna wieści ze świata (oczywiście, jeśli za świat uznać obszar w promieniu kilkudziesięciu mil).

Nasza historia rozpoczyna się właśnie w tym miasteczku...

Wszystko zaczęło się pewnego letniego wieczoru w gospodzie Pronibus, gdzie jak zawsze było dużo ludzi. Chłopi, po ciężkim dniu pracy popijali piwo z kufła, kupcy rozmawiali o cenach towarów i spodziewanych w tym roku zbiorach, a żołnierze siedzący w kącie głośno siorbali zupę, zagryzając każdą łyżkę grubymi pajdami chleba. Nic nie zapowiadało, że cokolwiek może zburzyć spokój tego miejsca.

W pewnym momencie, gdy słońce zniknęło już za horyzontem i robiło się coraz ciemniej, w drzwiach gospody stanął wędrowiec, który wyglądem nie przypominał nikogo z osób zazwyczaj odwiedzających Mupoks.

Nosił długie czarne włosy sięgające ramion, pośród których prześwitywały już pojedyncze, srebrne kosmyki; miał wąskie, zaciśnięte usta, prosty nos, i niezwykle oczy, mieniające się wszystkimi odcieniami fioleto, jak ametyst. Przybysz ubrany był w lekkie skórzane spodnie i wysokie buty, przypominające te, które nosili cesarscy strażnicy. Miał na sobie czarną skórzaną kamizelkę oraz koszulę z długimi rękawami – prawdopodobnie kiedyś była biała, lecz teraz przybrała kolor błotnej kałuży. Na ramionach nosił brudny, czarny płaszcz sięgający kostek, co wydawało się nieco dziwne, biorąc pod uwagę letni upał. Nie wyglądał na zmęczonego podróżnika, ale był bardzo skupiony. Wszedł do sali i zatrzymał się dwa kroki za drzwiami, rozglądając się po izbie, która coraz bardziej cichła, starając się nie zwracać uwagi na nieznanego i dziwnego przybysza. Tym bardziej, że nienaturalnie fioletowe oczy przybysza wydawały się bardzo zimne.

Po chwili wędrowiec zrobił kilka kroków i zapytał stojącego za ladą karczmarza:

– Macie wolny pokój?

– Mamy... – zaczął niepewnie Abbatelli. – Ale trzeba płacić z góry! – dokończył.

– Mam pieniądze – odpowiedział cicho nieznajomy, sięgając do pasa po sakiewkę. Dopiero wtedy wszyscy zebrani, którzy ani na chwilę nie przestali gapić się na wędrowca, zobaczyli, że nosi ukryty pod płaszczem i przypięty do skózanego pasa długi miecz. Pochwa, z umieszczoną w niej bronią była bardzo bogato zdobiona, a rękojeść stanowiła prawdziwe dzieło sztuki. Kowal, siedzący w końcu izby i wraz z innymi wpatrujący się w przybysza, gwizdnał pod nosem z uznaniem. Nieznajomy ani razu nie zareagował ani na panującą ciszę, ani na reakcje na sali.

– Jak długo macie zamiar zostać? – zapytał gospodarz.

– Nie jestem pewien... może kilka dni – odpowiedział nieznajomy. – Zapłacę od razu za tydzień.

– W takim razie należy się dziesięć i pół florena – Abbatelli odruchowo oblizal wargi, nie zwracając uwagi na zdziwione miny gości na sali. Gospodarz po latach pracy znalazł się na ludziach, wiedział, że nieznajomy pomimo znacznie zawyżonej ceny nie będzie się targował. Zwykle za noc w Pronibusie należało płacić 30 groszy, czyli pół florena.

– Drogo tu u was – zauważył wędrowiec, sięgając do sakiewki, by odliczyć żadaną kwotę.

– Ano drogo, co zrobić? Takie mamy czasy – odpowiedział karczmarz z miną człowieka, który wiele już w życiu przeżył. Widząc jednak, że wędrowiec wyciąga monety z samego dna sakiewki, dodał: – A niech będzie moja strata... Zapłaćcie dziesięć florenów i macie pokój na cały tydzień!

Abbatelli miał wrażenie, że kąciki ust nieznajomego podniosły się nieznacznie, co w każdym innym przypadku sprawiłoby wrażenie lekkiego uśmiechu, jednak teraz nadały twarzy wędrowca złowrogi wyraz.

Gospodarz jednak bardzo krótko cieszył się perspektywą dobrego zarobku, ponieważ w izbie, która wróciła już do normalnego gwaru i nie patrzyła na zakończenie transakcji, znowu zrobiło się cicho. Dwaj żołnierze, do tej pory siedzący w kącie, wstali od stołu i pewnym krokiem zaczęli iść w stronę wędrowca. Nieznajomy przy odliczaniu dziesiątego florena, zobaczył ich kątem oka i od razu wrzucił odliczoną kwotę z powrotem do sakiewki. Abbatelli zrobił minę dziecka, któremu właśnie ktoś zabrał ulubioną zabawkę.

Nieznajomy stał nieruchomo, wciąż odwrócony plecami do żołnierzy.

– Ej, ty tam! – zawołał pierwszy żołdak, zionąc zapachem piwa i zupy cebulowej. Był średniego wzrostu i nosił czarną, gęstą brodę, posklejaną resztkami zupy. – Czego tu szukasz?

– Chcę wynająć pokój – odpowiedział spokojnie przybysz, dopiero teraz odwracając się w kierunku żołnierzy. – To zdaje się, nie jest zabronione – dodał, nie uśmiechając się.

Wszyscy goście gapili się na całą scenę bardzo zaskoczeni, ponieważ nikt nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wydarzyło się w gospodzie coś podobnego. Cesarscy żołnierze nie cieszyli się co prawda przesadną sympatią, ale też nikogo nie zaczepiali. Inna rzecz, że mieszkańcy Mupoksu byli bardzo oddani Cesarstwu: nigdy cesarski żołnierz nie opuścił osady głodny, czy też poborca podatków nie został oszukany, a kapłani byli otaczani powszechnym szacunkiem, choć nawet nikt do końca nie wiedział, czym tak naprawdę się zajmują. I zawsze, ale to zawsze każdy cesarski dekret był dokładnie wypełniany. Oczywiście nie działo się tak dlatego, że mieszkańcy Mupoksu byli w jakiś szczególnie lepszy, uczciwszy czy pobożniejszy od innych. Po prostu żyjący tu ludzie przyzwyczaili się, że jest nad nimi Cesarstwo, które wiele od nich wymaga, ale póki mogli wiązać koniec z końcem i usiąść wieczorem przy kuflu piwa, nie było powodów do

narzekań. I dlatego scena rozgrywająca się na oczach gości Pronibusa wywołała taką konsternację i zaniepokojenie, widoczne na wielu twarzach.

– Może i nie jest – powiedział drugi żołnierz, mierząc wędrowca z góry na dół. – Ale to porządny lokal i mamy prawo zrewidować każdego, kto tu się zjawi.

Niektórzy goście szeroko otworzyli oczy. Nikt nie słyszał o takim prawie, ale też nikt nie zamierzał się odezwać, czy tym bardziej stanąć w obronie obcego.

– No to pokaż, co tam chowasz pod płaszczem, obdartusie! – powiedział brodaty i wskazał miejsce, gdzie przed chwilą pojawił się niezwykle miecz.

– Obawiam się, że to nie wasza sprawa – odpowiedział nieznajomy, patrząc żołnierzom prosto w oczy. Dopiero teraz, gdy zwrócił się w stronę sali, widać było, że jest nienaturalnie blady.

– Nasza, nasza – zarechotał kompan brodatego, uśmiechając się szyderczo i pokazując zepsute zęby. – Znasz cesarski dekret? „Wszystkim...tym, no...obywatelom nakazuje się, żeby zapewnić właściwe uzbrojenie wszystkim żołnierzom i strażnikom Cesarstwa... jest obowiązkiem każdego obywatela i obowiązuje do czwartego pokolenia, zgodnie z tym...eee... stanem posiadanych środków i możliwościami” – dokończył bardzo z siebie zadowolony.

– Hmm... nie bardzo rozumiem – powiedział nieznajomy. – Sam to wymyśliłeś, czy kolega ci pomógł?

– Ty, Gotard, patrz go, jaki wygadany! – powiedział brodaty do swojego towarzysza, opierając dłoń na rękojeści krótkiego miecza. Jego kompan także przygotował się do wyciągnięcia broni, którą nosił przytwierdzoną do pasa.

– Przykro mi, ale nie mogę wam pomóc – powiedział tym samym spokojnym tonem nieznajomy. – Nie ma takiego prawa, a to, co noszę przy sobie jest moją własnością i nie podlega rewizji.

– Spokojnie, my jesteśmy uczciwi ludzie i nie chcemy ci zrobić nic złego – powiedział żołnierz, nazwany wcześniej Gotardem, z groźnym błyskiem w oku. – Oczywiście, że nie chcemy zabrać twojego miecza. Ale nie może być tak, że porządni żołnierze noszą przy sobie byle szrot, a jakiś przybłęda ma przy sobie takie cudzińko. Proponuję wymianę: twoja broń za moją. Dobrze, nie? – Gotard, głośno zarechotał.

– Proponuję co innego – powiedział wędrowiec, starając się panować nad sobą. – Wróćcie do stolika i skończcie waszą zupę. Zimna nie jest już potem taka dobra.

– Wiesz, śmieciu, że możemy przetrzepać ci skórę? – krzyknął brodaty, słysząc cichy chichot dochodzący z sali, a następnie wyjął miecz i wycelował klingę w stronę wędrowca.

– Panowie, dajcie spokój! Sami powiedzieliście, że to porządny lokal – rzekł gospodarz łamiącym się głosem.

– Stul pysk, stary dziadu, bo i tobie może się dostać! – syknął Gotard, patrząc wściekle na gospodarza. – Dawaj Slen, wyciągamy go na zewnątrz!

– Czekaj, przecież on nie jest taki głupi, żeby się stawiać dwóm żołnierzom...

– Myślę, że twój towarzysz ma rację. Wyjdźmy lepiej na zewnątrz – powiedział przybysz i ze spokojem rozejrzał się po sali. Wszystkie oczy były zwrócone w jego stronę, a ich właściciele wydawali się jakby skurczeni. W powietrzu unosił się łatwy do rozpoznania zapach strachu. – Nie chcecie przecież niepokoić tych dobrych ludzi – powiedział wędrowiec takim tonem, jakby zwracał się do niesfornych dzieci.

– Dość! – krzyknął Gotard i zamachnął się na nieznanego mieczem, który znalazł się w jego sprawiła, że Gotard stracił na chwilę równowagę i odruchowo zrobił krok do tyłu, żeby ją odzyskać. Noga szukająca oparcia stanęła dokładnie w miejscu, gdzie ktoś chwilę wcześniej rozlał sporo piwa i żołnierz runął na ziemię, wzbudzając tym prawdziwą salwę śmiechu. Jego towarzysz, Slen, zamachnął się na przybysza, celując prosto w korpus, jednak niespodziewanie, mając Getarda pod nogami, sam też runął na ziemię jak długi.

– Czekam na panów na zewnątrz – powiedział nieznanomy, kierując się w stronę drzwi gospody.

Żołnierze szybko pozbierali się z podłogi. Mieli wypieki na twarzach i żądę mordy w oczach. Gdy rozejrzeli się po izbie, niektórzy jeszcze się uśmiechali z rozbawieniem. Widząc jednak wściekłość żołnierzy, na żadnej twarzy nie pozostał choćby ślad weselości.

– Zaraz policzymy się i z wami, żartownisie! – powiedział Slen przez zaciśnięte zęby i wybiegł za swoim towarzyszem, który już był na zewnątrz.

W sali zapanowała grobowa cisza. Nikt nie miał odwagi się ruszyć, ani wypowiedzieć choćby jednego słowa. Wszyscy byli przerażeni zachowaniem żołnierzy. Najbardziej wystraszony był Abbatelli, któremu trzęsła się szczeka tak, jakby miał gorączkę. Żaden z gości jeszcze nigdy w swoim życiu nie widział, żeby żołnierze w tak ewidentny sposób wykorzystali swoją pozycję. To prawda, że w Mupoksie żaden z mieszkańców nie miał cennych rzeczy, o które jakiś żołnierz mógłby się upomnieć czy być zazdrosny, a już na pewno nikt nie posiadał niczego, co dorównywałoby wartością broni wędrowca.

Teraz wszyscy nasłuchiwali, co się dzieje na zewnątrz. Jeszcze przed chwilą słyszeli pokrzykiwanie wychodzącego Gotarda, jednak tuż po wyjściu Slena zapanowała głęboka cisza. Z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk, poza tym jednym, charakterystycznym brzęczeniem przyrody, które towarzyszy letnim wieczorom.

Nie było słyhać walki, żadnego krzyku, odgłosów ucieczki. Nic. To jeszcze bardziej pobudzało wyobraźnię, która w każdej głowie tworzyła coraz dziwniejsze scenariusze.

– Może od razu się pozabijali i teraz tam leżą – odezwał się kowal, przerywając ciszę.

– Daj spokój, przecież coś byśmy usłyszeli – stwierdziła starsza kobieta, prowadząca stragan z warzywami.

– To może tam stoją i się gapią na siebie? – powiedziała inna. – Widzieliście jego oczy? Tego nieznanego? Z takim typem, to nigdy nic nie wiadomo – dokończyła z przekąsem.

– I nie wyglądało, żeby bał się żołnierzy – rzekł chłopak pracujący w cesarskim magazynie, znajdującym się na ulicy kupieckiej.

– Chciałeś chyba powiedzieć: nie bał! Widziałeś jak oni się wściekli? – rzekł syn piekarza. – Mam nadzieję, że tylko go okradną...

– Bądźcie cicho! Bo jeszcze nas usłyszą! – szepnął trzęsącym się głosem gospodarz, który wyglądał jak siedem nieszczęść. Teraz pluł sobie w brodę, że nie odesłał wędrowca z kwitkiem albo od razu nie dał mu pokoju za darmo.

Nieznośna cisza przedłużała się niemilosiernie i nagle wszyscy wstrzymali oddech, bo ktoś otworzył drzwi do gospody.

– Bardzo przepraszam, ale nie będę mógł się tutaj zatrzymać – rzekł wędrowiec, zwracając się do gospodarza. Powiedział to tak spokojnie, jakby w ogóle nie uczestniczył w awanturze, o której wszyscy byli pewni, że będzie mieć tragiczne skutki. Goście na sali gapili się na niego jak sroka w gnat, próbując wypatrzeć cokolwiek, co pozwoliłoby odgadnąć, jak potoczyła się sytuacja na zewnątrz gospody.

Niektórzy odczuli zawód, bo nie było widać śladów krwi, ani nawet zadrapania, a ubranie wędrowca nie zdradzało najmniejszych znaków bójkę czy szarpaniny. Nic się nie zmieniło w wyglądzie nieznanego, poza tym, że wydawał się jeszcze bardziej blady.

– Ale... co się stało? – wyjąkał gospodarz.

– Panowie Gotard i Slen uznali, że powinni udać się bezzwłocznie na nowy posterunek. Zdaje się, że poszli w kierunku bramy wschodniej – powiedział wędrowiec takim tonem, jakby mówił, że jest ciepły i pogodny wieczór. Następnie poprawił płaszcz na ramionach i udał się do wyjścia. Abbatelli, który cenił sobie zarobek, ale jeszcze więcej święty spokój, postanowił nie zatrzymywać gościa.

Większość osób, mniej lub bardziej dyskretnie, wyszło z gospody, by zobaczyć czy słowa nieznanego są prawdziwe. Drzwi Pronibusa wychodziły na ulicę kupiecką, więc wystarczyło spojrzeć w prawo, by zobaczyć bramę, o jakiej mówił wędrowiec. Tam dostrzegli dwóch znajomych żołnierzy, którzy szybkim wojskowym krokiem podążali na wschód.

Do grona gapiów, dołączył na krótką chwilę nieznanomy, wpatrując się w żołnierzy i szepcząc coś pod nosem. Niektórzy mieli odwagę jeszcze spojrzeć na wędrowca, lecz natychmiast odwracali wzrok. Jeszcze nigdy nie widzieli uśmiechu, który byłby aż tak smutny.

Po chwili nieznanomy odwrócił się i ruszył w kierunku placu na środku osady. Zatrzymał się, zastanawiając, w którą stronę się udać. Zostawiając za plecami ulicę kupiecką, spojrzął najpierw w prawo i skrzywił się na widok cesarskiej świątyni, a następnie skrzywił w lewo w ulicę morską i podążył w stronę bramy - była jeszcze otwarta.

Gdy zbliżał się do wartowników, usłyszał za sobą szybkie kroki i zdyszany głos:

– Poczekajcie! Wiem, że szukaliście noclegu w gospodzie – wydyszał mężczyzna w wieku około pięćdziesiątki, ubrany w porządną strój farmera. Gdy skończył mówić, musiał złapać oddech. Widać było, że biegł.

– Już nie... – odpowiedział nieznajomy. W jego głosie nie było slychać żalu ani złości.

– To gdzie teraz pójdziecie? – zapytał farmer z niepokojem. – Przecież już noc!

– Zdążę opuścić waszą osadę i pewnie urządzę obóz gdzieś nieopodal – odpowiedział wędrowiec. – Umiem znaleźć miejsca, gdzie będzie to bezpieczne.

– Ehh... może to trochę głupio z mojej strony, ale... byłem przed chwilą w gospodzie i chciałem...eee... – farmer próbował wyrazić się jak najlepiej i znaleźć odpowiednie słowa. Chociaż był pewien, że nieznajomy nie jest żadnym arystokratą, to wydarzenia tego wieczoru sprawiły, że chciał mu okazać szacunek. – Chciałem powiedzieć, że...eee... jeśli dalej szukacie noclegu, to proponuję wam izbę i trochę stawy w mojej chacie – skończył mówić i się zarumieniał.

– Po tym co się wydarzyło? – zapytał nieznajomy, spoglądając podejrzliwie. – A nie boicie się?

– Was? Chyba nie... Choć przyznaję, że jesteście człowiek dziwny, ale zdajecie się uczciwi – mupoksanin miał wrażenie, że lekki uśmiech przebiegł po twarzy wędrowca, ale mogło mu się tylko wydawać. – Przecież chcieliście zapłacić gospodarzowi za nocleg. Inna rzecz, że próbował was obedrzeć ze skóry, lachudra! A żołnierze... Nie wiem co ich dzisiaj napadło, normalnie zachowują się spokojnie. Prawda, że czasem kogoś obłożą po pysku, ale przecie od tego się nie umiera, nie?! Ale dzisiaj napadli na was jak jacyś zbóje. Nie wiem, co żeście im powiedzieli, ale dobrze, że to się tak skończyło. Strach pomyśleć, jakby doszło do jakiej tragedii – farmer mówił wszystko na jednym oddechu. – I sobie pomyślałem, że to się nie godzi zostawiać człowieka na noc bez dachu nad głową. Widziałem, że już odchodzicie, to do was przybiegłem. Moje gospodarstwo jest zaraz za bramą. To ta duża chata, gdzie w oknach pali się światło.

Nieznajomy spojrział we wskazanym kierunku i dostrzegł spore domostwo z bardzo zadbanym obejściem. Nawet z daleka wyglądało przytulnie.

– Nie dajcie się prosić. To w końcu święte prawo gościnności. Przecie mawiają, gość w dom, cesarz w dom – rzekł farmer. – Ja nazywam się Miron.

– Stare prawa są rzadkością, a ich przestrzeganie... – powiedział, jakby do siebie nieznajomy i urwał. – Macie rodzinę, Mironie?

– Mam żonę Tanię i dwoje dzieci. Syn ma na imię Michel, a córka Nadia. – odpowiedział farmer.

– W takim razie przyjmuję twoje zaproszenie, Mironie. Ja nazywam się Rafael – powiedział wędrowiec i wyciągnął rękę w stronę swojego dobrodzieja, który uściśnął ją energicznie.

Następnie udali się w stronę chaty Mirona. W czasie drogi farmer opowiadał Rafaelowi o swojej rodzinie i pracy na gospodarce, pokazywał obsiane pola i wyrażał

obawę o pogodę w czasie żniw. Rafael słuchał wszystkiego z uwagą, tym bardziej, że zaskoczyło go **to**, że gospodarz rozmawia z nim, jakby się znali kilka lat, a nie minut.

Po chwili dwaj mężczyźni idący w stronę gospodarstwa stali się ledwo widoczni, **a** następnie zniknęli za zamkniętymi drzwiami chaty Mirona.

Żaden z nich nie wiedział, że za sto lat każde dziecko będzie знаło początek tej historii i tę prostą chatę. Że imię Mirona i jego rodziny stanie się legendą. Do tego czasu jednak będzie musiało zostać wylane morze łez, ponieważ droga do wieczności zawsze prowadzi przez wielkie cierpienie...

II ROZDZIAŁ – DOM MIRONA

Żona Mirona, Tania, była drobną kobietą o ciemnej karnacji, piwnych oczach i kasztanowych włosach, schowanych pod płócienną chustą, mieniącą się haftami wielokolorowych kwiatów. Gospodyni miała wystające kości policzkowe i ostre rysy twarzy, które naznaczone ciężką pracą w gospodarstwie nadawały jej surowy i poważny wygląd. Nosila na sobie szarą suknię z płótna lnianego i zielony fartuch. Gdy usłyszała dźwięk otwieranych drzwi, odwróciła się, by przywitać męża. Wbrew pierwszemu wrażeniu okazało się, że ma bardzo ciepły uśmiech. Nawet jeśli zaskoczyła ją wizyta gościa, nie dała po sobie tego poznać. Rafael zauważył od razu, że gospodyni była wyraźnie młodsza od Mirona.

- Taniu, skarbie, poznaj proszę Rafaela, który zostanie w naszym domu na noc. – powiedział Miron do żony i cmoknął ją z czułością w policzek.

- Nasz dom twoim domem, gościu. – powiedziała Tania do przybysza, uważnie mu się przyglądając. Nie wyglądała na przestraszoną widokiem wędrowca, chociaż od razu zwróciła uwagę na jego bladą cerę i fioletowe oczy, a także na płaszcz, który zupełnie nie pasował do gorącej pory roku. – Jesteście głodni? – zapytała, zwracając się do męża.

- O tak! – odpowiedział Miron z uśmiechem i od razu zaczął opowiadać, co udało mu się tego dnia załatwić. Gospodarz mówił kolejno jakie ceny warzyw wynegocjował z miejscowymi kupcami, co ustalił z kowalem w sprawie nowych narzędzi i o wizycie w młynie, który jak wywnioskował Rafael, musiał być położony jeszcze dalej na południowy zachód od Mupoksu. Miron zaprosił gościa, by usiadł przy stole, nie przestając opowiadać żonie o spędzonym dniu.

Rafael, chociaż nie interesowały go sprawy rodzinne, przysłuchiwał się rozmowie gospodarzy z zaciekawieniem. Rzadko zdarzało się, żeby prosty farmer witał swoją żonę z jakąkolwiek czułością, a potem jeszcze opowiadał o interesach, jak równy z równym. Jeszcze rzadziej zdarzało się, żeby wracał do domu trzeźwy. Wędrowiec był pewien, że kiedy rozmawiał z Mironem w bramie miasta, nie wyczuł od niego zapachu piwa.

- Kolacja gotowa! – powiedziała Tania i położyła na stole spory garnek, w którym wesolo bulgotał pachnący gulasz. Rafael, chociaż starał się nie okazywać zdziwienia, był zaskoczony, że gospodyni dla każdego przygotowała drewniany talerz. Spodziewał się, że będą jedli ze wspólnego garnka, tak jak odbywało się to w innych chłopskich domach.

- Nie chcecie, panie, ściągnąć płaszcz? – zapytała Tania swojego gościa.

- Nie, dziękuję. – odpowiedział przybysz. – I mam na imię Rafael. Nie jestem żadnym „panem”.

Tania skinęła głową, uśmiechając się pod nosem.

W trakcie jedzenia nikt się nie odzywał i słychać było tylko stukanie łyżek o talerze. Dopiero po skończonej kolacji Miron zwrócił się do gościa:

- Chodź, pokażę ci miejsce do spania. – wstał od stołu i prawie na palcach, podszedł do drzwi, które znajdowały się na prawo od wejścia do chaty. – To izba parobków. Śpią tam już Gulio i Francis, ale trzeci siennik jest wolny. Powinien być w przyzwoitym stanie. Nasz ostatni parobek krótko z niego korzystał. Pracował tylko kilka

dni, a potem odszedł bez słowa. Pewnie uznał, że praca w gospodarstwie jest dla niego za ciężka. Szkoda, bo żniwa za pasem i potrzebne są ręce do pracy. – westchnął gospodarz i cicho otworzył izbę, w której pochrapywało dwóch młodych chłopaków. – Nie są to jakieś wielkie wygody, ale przynajmniej jest dach nad głową – powiedział Miron, jakby się usprawiedliwiając.

- Bardzo wam dziękuję. – odpowiedział gość. – Obojgu... - zwrócił się do Tani, która krzątała się po kuchni. – To więcej niż mógłbym się spodziewać.

- Dobrze już, dobrze. – zaśmiał się Miron. – Nie musisz nic mówić, bo wystarczy spojrzeć na twój płaszcz, żeby wiedzieć, że nieobce ci nocowanie pod gołym niebem. Rafael nie skomentował uwagi gospodarza, skinął tylko lekko głową i wszedł do niewielkiego pokoju, zamykając za sobą drzwi i podchodząc do wolnego siennika, leżącego w kącie izby.

Jedynym światłem w pomieszczeniu był blask księżycy wpadający przez okno, ale Rafael był przyzwyczajony do poruszania się w ciemności. Najpierw ściągnął płaszcz, odkładając go na sienniku, a następnie odpiął miecz, którego futerał i rękojeść błysnęły szmaragdowo. Potem przyłożył broń do czoła i szeptał coś pod nosem, jakby rozmawiał z mieczem, a następnie położył się, kładąc szmaragdowe ostrze na piersi i zatrzymując obie ręce na rękojeści. Wiedział, że nie zaśnie od razu, ale i tak był pewien, że wstanie przed parobkami Mirona. Teraz wsłuchiwał się w ciszę panującą w całym domu, tym bardziej, że także za kuchennymi drzwiami nie było slychać żadnego głosu. Dopiero po chwili, gdy jego słuch przyzwyczaił się do otaczającego spokoju, usłyszał głosy Mirona i Tani, którzy musieli wyjść na zewnątrz.

Miron wcześniej nie wspomniał ani słowem o żołnierzach w gospodzie i dopiero teraz opowiadał żonie o wszystkim, co wydarzyło się tego wieczoru. Rafael nie był w stanie uchwycić znaczenia poszczególnych słów, ale rozpoznawał ton głosu gospodarzy. Zdawało mu się, że słyszał w nim niepokój i... troskę?

Uświadomił sobie teraz jak bardzo jest zmęczony i poczuł wdzięczność dla Mirona za okazaną gościnę. Gospodarz się nie mylił: przybysz bardzo często musiał nocować pod gołym niebem i teraz zwykły siennik wydawał mu się królewskim łóżem, a pomieszczenie parobków cesarską komnatą. Wzdrygnął się wspominając Cesarstwo, więc szybko wrócił myślami do chaty Mirona. Wiedział jednak, że jutro będzie musiał ją opuścić. Incydent w gospodzie na pewno już się rozniósł szerokim echem po całej okolicy i niekiedy będą patrzeć krzywym okiem na gospodarza przyjmującego pod swój dach człowieka, który wdał się w awanturę z cesarskimi żołnierzami. Rafael nie chciał, by do tego doszło.

Po jakimś czasie wędrowiec usłyszał skrzypienie drzwi i kroki w kuchennej izbie – gospodarze dopiero teraz udali się na spoczynek. Zasnął z mocnym postanowieniem, że rano podziękuje Mironowi i uda się w dalszą drogę.

* * *

Rafael obudził się tuż przed wschodem słońca i w pierwszej chwili nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się znajduje - zerwał się więc z posłania i rozglądał po izbie, która wyglądała znajomo. Powoli wróciły w pamięci wydarzenia poprzedniego wieczoru. Rafael przypiął miecz do pasa, narzucił płaszcz na ramiona i bezszelestnie przeszedł przez izbę, starając się nie obudzić wciąż śpiących parobków.

Następnie wszedł do kuchni, która była pusta i pogrążona w półmroku. Widać było, że Tania bardzo dbała o dom. Dębowy stół nakryty był niewielkim lnianym obrusem, haftowanym w słoneczniki. Na obrusie stał ładny gliniany wazon, do którego wczoraj ktoś włożył bukiet polnych kwiatów. „Pewnie Tania albo któreś z dzieci” – pomyślał Rafael. Naczynia kuchenne stały poukładane równo, każde według swojego przeznaczenia: gliniane garnki, dzbanki i dzbanuszki stały na jednej półce, na drugiej miedziana patelnia i rondle o długich rączkach, na kolejnej metalowe garnki z żelaza i miedzi oraz kociołki z uchwytem do podwieszania nad piecem. W innym miejscu leżały drewniane misy, talerze, łyżki, chochle, noże, czerpaki i sita, a obok ułożone równo cynowe talerze, dzbany i gąsiory, w których przechowywane były napoje. Najwięcej miejsca w kuchennej izbie zajmował piec w formie paleniska, wymurowany z cegły i gliny. Nad piecem znajdował się sklepiony otwór na magazynowanie opału, a powyżej niego komin połączony z okapem, który jak zauważył Rafael, pełnił też funkcję wędzarni. Drewniana podłoga była zamieciona i wymyta. Wszystko lśniło czystością.

Rafael był zaskoczony, ponieważ cisza i spokój panujące w domu wydawały mu się w jakiś sposób święte i niespodziewanie wywołały w nim uczucie tęsknoty, powodując w sercu ukłucie dotkliwego smutku.

Chata Mirona w żadnym razie nie przypominała jego rodzinnego domu, który opuścił dawno temu, a który różnił się od tego miejsca pod każdym względem. Rafael pomyślał, że ten dom i wszystko, co się w nim znajduje, opowiadają o dobrym i porządnym życiu mieszkających tu ludzi, będącymi w gotowości przyjąć w gościnę obcego człowieka, i to całkowicie bezinteresownie. Miron przecież z własnej woli zaproponował mu nocleg i zaprosił na kolację. Tania, choć na pewno zaskoczona przyściem gościa, nie dała odczuć, że jego wizyta jest dla niej problemem.

- Ile to już lat? – usłyszał w głowie pytanie, które nie wiedzieć czemu, akurat teraz domagało się odpowiedzi. - Dwadzieścia... Prawie dwadzieścia lat w drodze i nieustannej podróży, pełnej tropienia, ucieczek, ukrywania się, niebezpieczeństwa, strachu i czujności... Dwadzieścia lat uciekania i gonienia za przeszłością...

Do tej pory zawsze był skupiony i uważny, dlatego teraz zupełnie zaskoczyły go pragnienie i tęsknota za miejscem, w którym można się zatrzymać. Wczoraj, wchodząc do tej osady zapomnianej przez resztę świata, na samej granicy Cesarstwa, nie przypuszczał, że właśnie tutaj obudzą się w nim zapomniane i niechciane uczucia. Tym bardziej był przekonany, że musi jak najszybciej opuścić to miejsce, lecz po raz pierwszy od bardzo długiego czasu poczuł ukłucie żalu przypalające jego serce dokładnie w tym miejscu, które zawsze najbardziej boli – w miejscu, które pamięta o wszystkim.

Zamknął oczy i dotknął rękojeści miecza. Na nieruchomej twarzy widać było lekki ruch warg, tak jakby coś szeptał. Trwało to bardzo krótko. Otworzył oczy, które znowu zapaliły się intensywnym fioletowym blaskiem i ruszył do wyjścia.

Zdecydował, że nie będzie żegnał się z Mironem ani z jego żoną, bo chociaż okazali mu tyle serca, na pewno domyślą się, że nie chciał sprawiać im kłopotu. Poza tym, poczuł, że musi naprawdę uciekać z domu, który rozbił go wewnątrz.

Gdy wyszedł na zewnątrz, właśnie wschodziło słońce. Obrócił się w stronę światła, by ciepłe promienie dotknęły jego bladej twarzy i chociaż trochę rozgrzały poranioną duszę. W tym momencie usłyszał kroki w kuchennej izbie, idące w jego stronę.

- Myślałem, że będziesz spał dłużej. – powiedział Miron stając w drzwiach, przecierając oczy i przeciągając się na świeżym powietrzu.

- Jestem przyzwyczajony do krótkiego wypoczynku. – odpowiedział Rafael.

- Nie dziwię się... – ziewnął Miron. – Jak się śpi nie wiadomo gdzie...

Rafael uśmiechnął się.

- Chciałem ci bardzo podziękować za waszą gościnę. Dawno nie czułem się tak dobrze w jakimś miejscu, czułem się, jakbym był...

- ...w domu. – dokończył Miron, ze zrozumieniem kiwając głową. – To do kiedy zostaniesz? Bo chyba nigdzie się teraz nie wybierasz? – popatrzył na Rafaela, unosząc lekko brwi. – Tak bez śniadania?

- Mironie, tak jak powiedziałem, jestem ci bardzo wdzięczny, ale nie mogę u was zostać. Nie chcę wam sprawiać kłopotów ani być przyczyną jakichś nieprzyjemności. – gospodarz domyślił się, że Rafael ma na myśli sytuację z żołnierzami.

- Słuchaj, bracie, tu ludzie są spokojni i nie szukają kłopotów. O tym, co się wczoraj stało będą plotkować przez najbliższy tydzień, może dwa, a potem każdy zajmie się swoimi sprawami. Tutaj tak już jest. – powiedział Miron stanowczo. – Poza tym niedługo żniwa i nikt nie będzie miał czasu zajmować się głupotami.

Rafael spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Wiesz, pogadaj z Tanią. Wczoraj, dopiero kiedy poszedłeś już spać, bo pomyślałem, że tak będzie lepiej, opowiedziałem jej o wszystkim. – ściszył głos i mrugnął okiem do Rafaela. – Gdybyś mógł ją widzieć! Była naprawdę oburzona zachowaniem żołnierzy i bardzo było jej cię szkoda.

- Co innego przyznać komuś rację, a co innego pozwolić mu mieszkać pod swoim dachem. – powiedział Rafael, który już wielokrotnie mógł się o tym przekonać. Ludzie mogą ci współczuć i być po twojej stronie, ale to nie znaczy, że ci pomogą, gdy znajdziesz się w potrzebie.

Miron wcale nie wyglądał na przekonanego.

- Ale przecież ostatecznie nic złego się nie stało i nie można mieć do ciebie pretensji! No, może poza Abbatellim, który nie dość, że stracił zarobek, to jeszcze mało co nie popłakał się ze strachu. – na wspomnienie karczmarza Mironowi zaświeciły się oczy. - Zostań przynajmniej i coś zjedz! Z pustym żołądkiem trudno podejmować

decyzje. Tym bardziej, że czują już z kuchni zapachy śniadania, a to znaczy, że Tania też już wstała.

Miron otworzył drzwi i gestem zaprosił Rafaela do środka, lecz ten nie ruszył się z miejsca. Wiedział, że powrót do tego domu sprawi, że potem będzie mu jeszcze trudniej odejść, ale nie chciał też okazać niewdzięczności za otrzymaną gościnę. Zrezygnowany kiwnął głową i poszedł za gospodarzem.

Gdy weszli do środka izby, żona Mirona krzątała się po kuchni szybko i z dużą gracją. Na stole leżały już drewniane talerze i łyżki, a wokół smakowicie pachniało jajecznicą i smażoną cebulą.

Gdy Miron i Rafael usiedli do stołu, zaraz znalazła się przed nimi gorąca patelnia, a obok wylądował wiklinowy koszyk, do którego Tania włożyła grubo pokrojone pajdy chleba.

- Ale z was ranne ptaszki – rzekła gospodyni, dosiadając się do mężczyzn. Nie wyglądała ani na zasną, ani na zmęczoną.

- Ledwo udało mi się złapać Rafaela. – powiedział Miron z pełnymi ustami. – Powiedział, że nie chciał nam robić kłopotu.

- Naprawdę? – zapytała Tania z wyrzutem i starała się spojrzeć Rafaelowi w oczy, ten jednak nie podniósł wzroku znad talerza. – A jaki to może być kłopot?

- No, wiesz. Ta wczorajsza awantura...

- ...która przecież skończyła się pokojowo – dokończyła Tania, nie przestając patrzeć na gościa. – Nie ma się czym przejmować, Rafaelu! Ludzie tutaj są jak jezioro, nieważne czy przejdzie prawdziwa burza, czy rzucisz mały kamień, woda zawsze wraca na swoje miejsce. Trochę poprzeżywają i niedługo im przejdzie.

- Powiedziałem dokładnie to samo – rzekł Miron, zadowolony, że żona potwierdziła jego słowa.

- Nie chciałbym nadużywać waszej gościny – odezwał się Rafael.

- A co żeś takiego do tej pory „użył”, żeby „nadużyć”? Dwa proste posiłki i jeszcze skromniejszy siennik? Nie przesadzaj! – zaśmiała się Tania. Miron nie zareagował, widać było, że jest przyzwyczajony do bezpośredniego stylu swojej żony.

- Dla mnie to bardzo dużo – powiedział Rafael.

- No to skoro masz takie wyrzuty sumienia, które nie pozwalają ci korzystać z gościny dawanej z dobrego serca w naszym domu, to może zgodzisz się pomóc nam przy żniwach? – zapytała wesoło Tania i podbiegła do męża, który nagle zaczął się krztusić.

- No coś ty, Tania! – wydusił z siebie Miron, kiedy po chwili doszedł już do siebie.

- Sam przecież mówiłeś, że Rafael nie ma dokąd pójść. My za to potrzebujemy pomocy, bo brakuje przynajmniej jednej pary rąk do pracy, a jemu przyda się kilka dodatkowych florenów w sakiewce – powiedziała Tania bez żadnego skrępowania, podczas gdy Rafael słuchał w osłupieniu wywodu gospodyni. Domyślił się też, że Miron w swoim opowiadaniu nie pominął żadnego wątku, a może i dodał coś od siebie. - No chyba, że praca w gospodarstwie to jakaś hańba? – rzuciła, patrząc bezlitośnie na lichy strój swojego gościa.

Miron wpatrywał się w pusty talerz po jajecznicy, jakby spodziewał się znaleźć na nim coś jeszcze i za nic nie chciał podnieść głowy do góry, by spojrzeć na Rafaela. Wędrowiec natomiast nic nie odpowiedział, tylko na chwilę przymknął oczy. Widać było, że bardzo intensywnie myśli o tym, co powiedziała Tania. Z jednej strony miał pokusę zostać w tym domu, który chociaż tak szybko obudził w nim zapomniane uczucia, to był jak plaster na krwawiącą ranę. Tym bardziej, że gospodarze z jakiegoś powodu okazali mu od samego początku sympatię i ani trochę się go nie bali, a przecież wiedział, jak wygląda. Chociaż starał się nie wzbudzać niczyjej uwagi, widział setki razy jak ludzie gapili się na jego nienaturalnie bladą i skupioną twarz, a potem jak odwracali wzrok, gdy zobaczyli jego oczy. Nawet karczmarze, którym przecież płacił za nocleg, spoglądali na niego z niechęcią.

Podjął już decyzję, choć miał przeczucie, że przyjdzie za nią bardzo drogo zapłacić w przyszłości. Najpierw spojrział na Mirona, a potem na Tanię, która o dziwo, wytrzymała spojrzenie jego fioletowych oczu.

- Jeśli naprawdę nie boicie się obcego pod waszym dachem, mogę zostać...

- Naprawdę? – Miron zerwał się od stołu i mało nie poprzewracał talerzy. – I chcesz nam pomóc?

- Tak – odpowiedział Rafael zdecydowanym głosem. – Co prawda nie znam się na pracy w polu, ale szybko się ucze.

- W takim razie pozostaje jeszcze kwestia twojego miecza – stwierdziła Tania, a gospodarz chrząknął znacząco, znowu nie patrząc na Rafaela. – Z tego co powiedział Miron, to on ściągnął na ciebie uwagę żołnierzy w gospodzie?

- Tak – odpowiedział krótko Rafael. Mironowi zdawało się, że gość bardzo cicho powiedział coś jeszcze, ale nie był pewien.

- W naszej chacie nie zapewnimy mu należytej ochrony, a przecież nie możesz z nim chodzić do pracy... - Tania starała się znaleźć jakieś rozwiązanie. – Masz jakiś pomysł, Mironie?

- Może oddamy go na przechowanie kapłanom do świątyni? Tam powinien być bezpieczny... - zastanowił się gospodarz i urwał w pół zdania.

Rafael pobladł jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe, a jego fioletowe oczy nabrały groźnego wyrazu. Miron i Tania spojrzeli na siebie zdziwieni, bo przecież kapłani cieszyli się powszechnym szacunkiem i nie było powodu podejrzewać ich o nieuczciwość. Co prawda, nikt do końca nie wiedział czym się zajmują w ciągu roku, gdy nie organizują świąt ku czci cesarza, ale dla mieszkańców Mupoksu nie miało to żadnego znaczenia i nikt nie czuł potrzeby, by zdobyć taką wiedzę. Natomiast jedno było pewne: nikt nie wpadłby na pomysł, by w ich świątyni szukać drogocennej broni.

- Myślę, że macie rację. Miecz nie może zostać w domu – Rafael opanował się niemal natychmiast. – I wiem, co należy zrobić.

W tym momencie wstał od stołu, podszedł do wyjścia i powiedział w drzwiach:

- Potrzebuję tylko trochę czasu.

- Odchodzisz? – zapytała Tania.

- Muszę. Na trzy dni. Potem wrócę.

- Dzisiaj jest wtorek... - powiedział jakby do siebie Miron.

- W takim będę w piątek na śniadaniu – na twarzy Rafaela, pojawił się uśmiech, który po raz pierwszy nie zionął chłodem, po czym wędrowiec zniknął z oczu gospodarzy.

Miron wstał i podszedł do okna, by zobaczyć postać oddalającego się Rafaela, idącego drogą na południowy zachód. Po chwili do męża dołączyła Tania wpatrując się razem z nim w gościa, który już prawie zniknął na horyzoncie.

- Myślisz, że wróci?

- Nie wiem. Bardzo dziwny człowiek... Ale wydaje mi się, że ma w sobie coś dobrego. – Tania spojrzała na męża. – Tego jednak nie dało się powiedzieć o jego ubraniu. Miron znalazł upodobanie żony do porządku i czystości. Domyślał się ile musiało ją kosztować siedzenie z Rafaelem, w którego odzieniu żona prawdopodobnie zmieniłaby wszystko. – I jeszcze ten miecz...

- Chyba nie myślisz, że go ukradł? – zapytał Miron, któremu teraz różne myśli przychodziły do głowy.

- Zupełnie nie wyglądał na złodzieja – rzekła poważnie Tania. – Raczej wydawało mi się, że ma dla niego jakąś szczególną wartość.

- To dlaczego nie chciał oddać go do świątyni? I tak się dziwnie zachował na samo jej wspomnienie...

- Może tam skąd pochodzi ludzie nie są specjalnie religijni – zastanowiła się gospodyni. – Chociaż tak się składa, że my też nie! – zaśmiała się.

- No nic, nie ma co gadać po próżnicy. Robota czeka – stwierdził Miron kierowniczym tonem – Idź budzić chłopaków!

- Za chwilę. Zrobię tylko porządek w kuchni – Tania błyskawicznie zebrała talerze i położyła je obok drewnianego cebra z wodą, zawinęła chleb w płócienną chustę i zgarnęła resztki ze stołu na podłogę, którą potem miała zamiar pozamiatać.

W tym czasie Miron wyszedł na zewnątrz i rozejrzał się wokół. Był to za każdym razem moment, który wypełniał go radością, gdyż z zadowoleniem patrzył na pola obsiane żytem i pszenicą oraz na zagrody ze zwierzętami. Znalazł się na swojej pracy, jego rodzina z dziada pradziada zajmowała się uprawą roli i to na tyle skutecznie, że z pokolenia na pokolenie powiększała posiadane pola i inwentarz.

Gospodarz usłyszał, jak Tania budzi Gulia i Francisca wołając ich na śniadanie, a parobkowie wesoło odkrzykują gospodyni, wyczuwając zapachy wydobywające się z kuchni. Miron był pewien, że ten domowy rytuał na pewno obudził także dzieci. Na samą myśl o Michelu i Nadii twarz gospodarza rozjaśnił promienny uśmiech. Jeśli dumą z dzieci można byłoby mierzyć szczęście człowieka, to Miron należałby do najszczęśliwszych ludzi na świecie.

Z długiej zadumy wyrwali go Gulio i Francis, którzy przekrzykując się i jak zwykle klócąc, wyszli z chaty. Miron bardzo lubił swoich parobków i pieszczotliwie nazywał ich „nicponiami”. Za nimi w drzwiach pojawiła się Tania, uśmiechając się szeroko. Ona też

lubiła tę wesołą dwójkę. Następnie podzielili się pracą i każdy udał się do swoich zajęć. Gospodyni zabrała Francisa i poszli razem do stodoły nakarmić zwierzęta, a Miron z Guliem udali się do warsztatu, by zacząć ostrzyć narzędzia potrzebne do żniw.

Dni mijały szybko i Miron rzadko wracał myślami do tajemniczego nieznajomego, który nagle pojawił się w jego domu, a potem jeszcze szybciej z niego zniknął. Tylko od czasu do czasu, gdy mijali się żoną, jedno pytało drugie: „Myślisz, że wróci?” - momentami będąc pewnymi powrotu Rafaela, a innym razem kręcąc z niedowierzaniem głową.

Gdy przyszedł piątek, Miron i Tania wstali wcześniej niż zwykle i siedzieli w kuchni. Panowała cisza, do której byli przyzwyczajeni i tylko z pobliskiego lasu dało się słyszeć szum drzew, śpiew budzących się ptaków oraz letni wiatr, który raz po raz wpadał do środka przez szczeliny w oknach. Tak naprawdę nie spodziewali się już zobaczyć Rafaela, ale mimo to zdecydowali się na niego poczekać.

Gdy pierwsze promienie słońca powoli wkradły się do izby, ktoś nagle cicho zapukał do drzwi. Miron wstał bez słowa, otworzył drzwi i uśmiechnął się szeroko.

- Mam nadzieję, że się nie spóźniłem – powiedział do niego Rafael i się zaśmiał.

III ROZDZIAŁ – MICHEL I NADIA

Miron wolał nie pytać Rafaela, gdzie był przez ostatnie dni i co robił, ani tym bardziej co się stało z mieczem, którego nie nosił już przy pasie. Gospodarz był przekonany, że wypytywanie wędrowca i tak nic da, uznał więc, że jeśli jego gość będzie chciał mu coś powiedzieć, to po prostu to zrobi. Zresztą codzienne obowiązki i praca w gospodarstwie kazały się skupić na innych rzeczach i skutecznie nie pozwalały krążyć myślom po szerokich wodach wyobraźni.

Rafael, zgodnie z zapowiedzią, bardzo szybko się uczył i już po tygodniu był doskonale zorientowany w sytuacji gospodarstwa. Miron patrzył na nowego znajomego – z jakiegoś powodu nie potrafił o nim myśleć jak o parobku – z nieskrywanym podziwem. Nawet Francis i Gulio musieli zmienić zdanie, bo choć z początku łypali krzywym okiem na nowego lokatora i pomocnika, szybko przekonali się, że można z nim nie tylko współpracować, ale i dobrze czuć się w jego towarzystwie.

W samym Rafaelu, gdy już podjął decyzję o pozostaniu w gospodarstwie, nastąpiła spora zmiana – nie wydawał się już mrukiem i teraz chętnie rozmawiał z domownikami, a oni po jakimś czasie zaczęli wręcz szukać jego towarzystwa, bo zawsze miał coś ciekawego do opowiedzenia. Okazało się, że ich nowy znajomy bardzo wiele podróżował i na własne oczy widział miejsca, które do tej pory uchodziły za egzotyczne albo wręcz zmyślane, jak mity czy legendy. W przeciwieństwie do kupców i podróżnych odwiedzających Mupoks, jego znajomość Cesarstwa nie kończyła się tylko na granicy prowincji.

Opowiadał o licznych miastach i osadach rozsianych po całym państwie. O życiu mieszkających tam ludzi, ich zwyczajach i tradycjach, zmieniających się w zależności od specyfiki danego regionu i zajęć mieszkańców. Gulio i Francis, którzy nigdy nie chodzili do żadnej szkoły i nie interesowali się geografiami, po raz pierwszy dowiedzieli się, że Cesarstwo było podzielone na dziewięć regionów, nazywanych też prowincjami, a na czele każdego z nich cesarz ustanawiał swoich namiestników. Ci z kolei, mimo iż byli wasalami, cieszyli się dużą autonomią w stanowieniu prawa oraz mieli do dyspozycji własne wojsko. Rafael wyjaśnił Mironowi, że żołnierze z gospody należeli do Frumencji, regionu, na terenie którego znajdował się Mupoks.

Szczególne zainteresowanie opowieściami przybysza okazywały dzieci Mirona, na każdym kroku szukające obecności Rafaela, by zasypywać go gradem nowych pytań. Słuchały z szeroko otwartymi ustami i świecącymi oczami, kiedy wędrowiec opisywał wielkie kamienne miasta położone pośród Gór Północnych, w których żyli Ferrianie – olbrzymi, słynący ze sztuki kowalstwa.

– Chociaż nie mają oni opinii przesadnie gościnnych i zazdrośnie strzegą swoich sekretów, to można z nimi się dogadać, bo chętnie sprzedają swoje towary, szczególnie te gorszej jakości – dodał Rafael, uśmiechając się. – Lepsze zawsze zostawiają sobie, a najlepsze, zgodnie z lenną umową zawartą blisko sto lat temu, trafiają do cesarskiej zbiorowni w stolicy. Słyszałem też, że podobno kilku olbrzymów służy w armii cesarza.

Innym razem, gdy siedzieli przy stole po skończonym dniu pracy, przybysz opowiadał o ogromnym jeziorze, które znajdowało się przy zachodniej granicy Cesarstwa. Żyli tam Profondianie, rasa ludzi – jaszczurek. Zbudowali oni swoje miasto Aquarom na powierzchni wody i zajmowali się rybolówstwem, łowiectwem oraz budową barek i statków rzecznych, słynących z doskonałej jakości. Oprócz tego mieszkańcy wodnego miasta byli także znanymi lucznikami.

– Niektórzy wierzą, że wejście do ich prawdziwej siedziby, nie do osady zbudowanej na jeziorze, znajduje się za wodospadem, po drugiej stronie jeziora i prowadzi w głąb ziemi. – powiedział Rafael, wykonując gest, jakby odsłaniał firanę w oknie. – Sami Profondianie milczą na ten temat albo się z tego śmieją.

– I nikt nie próbował tego sprawdzić? – zapytała z ciekawością Tania.

– Nikt. Wystarczy zobaczyć to miejsce, by zrozumieć dlaczego – stwierdził już poważniej wędrowiec. – Gdyby ktoś z ludzi spróbował tylko zbliżyć się do wodospadu, ciężar wody zgniótlby go na miazgę.

Innym razem opowiadał o rozległych pustyniach, ciągnących się wzdłuż ogromnego kanionu, na południowo – wschodnich granicach Cesarstwa. Rafael przyznał, że co prawda nigdy tam nie był, a tylko nielicznym udało się przejść przez pustynię i bezpiecznie wrócić.

– Potem te osoby opisywały niebywale piękne miasto mieniące się kolorami złota i rubinu, a z jego środka wznosiły się w niebo liczne wieże o przeróżnych rozmiarach i kształtach – mówił wędrowiec, natomiast dzieci słuchały go jak zaczarowane. – Według tych opowieści ludzie z południa mieli mieć skórę podobną do kamienia, która nie tylko pozwalała im znosić wysoką temperaturę, ale także chroniła ich w czasie walki.

Miron po pewnym czasie zauważył, że Rafael nigdy nie opowiadał o sobie, bo nawet gdy opisywał kolejne miejsca, które odwiedzał, ani razu nie powiedział co tam robił ani czego szukał.

Wreszcie nadeszły żniwa i wszyscy mieli mnóstwo pracy. Była piękna, słoneczna pogoda, więc wszystkim dopisywał dobry humor, mimo wysiłku i strumieni potu, które lały się z czoła. Dzieci bez przerwy biegały zbierając zboże i wiążąc je w snopki, od czasu do czasu przynosząc pracującym mężczyznom, w specjalnie do tego przygotowanych manierkach, chłodny kompot do picia, przygotowany przez Tanię. Z czasem, gdy prace coraz bardziej posuwały naprzód i coraz bardziej oddalali się od domu, gospodyni przynosiła obiad, który rozkładała na ogromnym kocu i zapraszała wszystkich do „stołu”. Był to jedyny moment, kiedy przerywano pracę. Miron patrzył z uznaniem na Gulia i Francisa, którzy mimo wciąż pojawiających się odcisków na rękach, ani przez chwilę nie ociągali się w pracy. Gdy gospodarz ukradkiem zerknął na ręce Rafaela, nie dostrzegł ani jednego pęcherza czy odcisku.

Dzieci za to wykorzystywały każdą przerwę obiadową, by pytać Rafaela o kolejne, coraz dziwniejsze rzeczy.

– Naprawdę nikt obcy nie może wejść do stolicy? – zapytał Michel, robiąc wielkie oczy.

– Nikt kto nie ma zaproszenia. – odpowiedział Rafael, uśmiechając się do dzieci.

– A gdzie można dostać takie zaproszenie? – zaszcebiotała Nadia dziecięcym głosem.

– Ooo, to nie takie proste! – zaśmiał się podróżnik. – Żeby zapewnić bezpieczeństwo władcy, do Melexii mogą wchodzić tylko obywatele Cesarstwa, którzy mieszkają w mieście przynajmniej od trzech pokoleń. Są to nie tylko osoby związane z którąś z arystokratycznych rodzin albo z samym cesarzem, ale także artyści, pisarze, naukowcy, rzemieślnicy, kucharze i służba. Jednym słowem – wszyscy, którzy pracują dla władcy.

Oprócz tego każda prowincja ma do swojej dyspozycji jeszcze określoną liczbę glejtów, czyli specjalnych przepustek, pozwalających na wejście do miasta. Gdy dwór cesarza od czasu do czasu potrzebuje nowych ludzi, wysyła zapotrzebowanie na określonego pracownika: kowala, płatnerza, czy też nauczyciela. Wtedy o taki glejt u swoich namiestników mogą starać się mistrzowie cechów, którzy chcą wyruszyć do stolicy. Oczywiście po przybyciu na miejsce muszą się jeszcze wykazać swoim kunsztem. Potem wybiera się najlepszego, który dostaje prawo zamieszkania w Melexii, a jego glejt wraca do namiestnika regionu, z jakiego pochodził, zazwyczaj z jakąś dodatkową nagrodą. Pozostali kandydaci muszą wrócić do swoich domów i z powrotem oddać glejty swoim namiestnikom.

– W takim razie ja zostanę kowalem! – zawołał dzielnie Michel, wymachując patykiem. – Będę pracował dla cesarza i mieszkał w stolicy! – dodał z przekonaniem.

Wszyscy się uśmiechnęli, oprócz Rafaela, który tylko uważnie wpatrywał się w chłopca.

– Nie wiedziałem, że to takie łatwe – zdziwił się Francis.

– To wcale nie jest łatwe – poprawił go Rafael. – Po pierwsze, takie zapotrzebowanie jest wysyłane bardzo rzadko. Po drugie, trzeba naprawdę osiągnąć niebywale mistrzostwo w swoim fachu. Po trzecie, każdy namiestnik, ponieważ boi się narazić na gniew cesarza, zazdrośnie strzeże swoich glejtów i przez to jeszcze trudniej je zdobyć.

– No, ale nie dla nas wielkie sprawy tego świata – powiedział Miron, przerywając opowieść i wstając ze swojego miejsca.

Za nim podnieśli się pozostali mężczyźni i wszyscy ruszyli w pole. Słońce było wciąż wysoko, więc zostało jeszcze kilka godzin pracy. Tania wraz z dziećmi pozbierała naczynia do dużego wiklinowego kosza i poszła w kierunku domu. Rafael usłyszał jeszcze za sobą głosy Michela i Nadii:

– Mamo, myślisz, że będę mogła kiedyś wejść do stolicy? – zapytała dziewczynka.

– Kochanie, szczęście można znaleźć także we własnym domu – odpowiedziała Tania. – Nie trzeba wcale szukać go na końcu świata.

Córka wcale nie wydawała się przekonana, ale Tania zaraz zmieniła temat.

Rafael odwrócił się dyskretnie i jeszcze przez chwilę patrzył na dzieci, które dla Mirona i Tani były prawdziwym skarbem. Przybysz, chociaż minęło dopiero kilka

tygodni, zdążył już dobrze poznać rodzinę gospodarza i zauważył, że dzieci, pomimo że otoczone prawdziwą miłością i troską, w żadnym razie nie były rozpieszczone, ponieważ gospodarze zawsze pilnowali, by nie brakowało im codziennych zadań i obowiązków, szczególnie teraz gdy pracowały przy skoszonym zbożu, niczym dwie mróweczki.

Michel miał jedenaście lat i był jak na swój wiek wysoki. Miał kasztanowe włosy, dokładnie jak jego matka, i niebieskie oczy. Poruszał się szybko i zawsze miał mnóstwo energii. Rafael nie przypominał sobie, żeby widział chłopaka siedzącego beczynnie. Miron nieraz dzielił się ze swoim nowym znajomym troską, że w najbliższym czasie trzeba będzie pomyśleć o przyszłości chłopca. Gospodarz nie miał najmniejszych wątpliwości, że syn przejmie po nim gospodarstwo, ale nieraz zastanawiał się, czy nie warto go jeszcze wysłać do terminu do miejscowego kowala, ponieważ Michel był wyjątkowo pomysłowy i miał niezwykle zdolności manualne. Poza zabawą najchętniej spędzał czas w domowym warsztacie, eksperymentując z narzędziami i tworząc nowe przedmioty. Miron był bardzo dumny, gdy pewnego razu pokazał Rafaelowi ruchome zabawki, które jego syn wykonał, gdy miał zaledwie siedem lat.

Nadia była rok młodsza od brata. Miała ciemne oczy i długie jasne włosy, zazwyczaj zaplecione w warkocz i chociaż była jeszcze dzieckiem, widać było, że w przyszłości wyrośnie na prawdziwą piękność. Przy Michelu wydawała się dużo spokojniejsza; lubiła bawić się lalkami, za każdym razem wymyślając nowe historie i przygody, w których uczestniczyli bohaterowie zabaw. Często też chodziła zamyślona.

Kiedy Rafael zjawiał się w ich domu, dzieci od początku przyglądały mu się z ciekawością i bez żadnego skrępowania. Nie przstraszyło ich jego ubranie ani dziwne oczy, a kiedy okazało się, że przybysz zna tyle ciekawych opowieści, szybko stał się ich główną atrakcją, gdyż Michel i Nadia byli żądni nowej wiedzy. Okazało się też, że mają doskonałą pamięć. Wędrowiec wiele razy był zaskoczony, gdy dzieci bez żadnej pomyłki potrafiły wymienić nazwę miejscowości albo pasma górskiego, o którym rozmawiali kilka dni wcześniej.

Pewnego razu, gdy żniwa miały się ku końcowi, Rafael po skończonym dniu siedział wraz z gospodarzami w kuchni. Gulio i Francis poszli do gospody, a dzieci już spały.

– Nie myśleliście, żeby posłać Michela i Nadię do szkoły? – zapytał nagle Rafael.

– Kiedyś tak... – zaczął Miron. – Nawet zasięgnęliśmy języka u przyjezdnych kupców o możliwość nauki w Segardzie, gdzie znajduje się najbliższa szkoła. Niestety...

– Okazało się, że nie przyjmują tam dzieci chłopów – odpowiedziała Tania. – To szkoła świątynna i ma bardzo ograniczoną liczbę miejsc. Prawdopodobnie nie byłoby nas stać, bo za wszystko trzeba zapłacić, a w dodatku to bardzo daleko od Mupoksu.

– Przyznaję, że było nam szkoda dzieciaków, bo są takie mądre. Tym bardziej, że gospodarstwo jest już spore i nie zaszkodziłoby, gdyby umiały chociaż czytać i pisać – stwierdził gospodarz. – Bo na nas jest już za późno.

– A kapłani ze świątyni nie prowadzą szkoły w osadzie? – zapytał Rafael, ale takim tonem, jakby cedził każde słowo.

– Nie. Kiedyś kowal zdobył się na odwagę i zapytał ich o to – Tania uśmiechnęła się smutno. – Odpowiedzieli mu, że nie mają czasu na takie rzeczy – dokończyła z przekąsem.

– Trochę dziwne, bo co niby mają do roboty, nie? – zaśmiał się Miron.

Nikt nie odpowiedział na to pytanie i cała trójka ponownie zamilkła. Tania patrzyła na Rafaela, który wyglądał jakby się nad czymś intensywnie zastanawiał. Gospodyni w ostatnim czasie bardzo polubiła nowego domownika, zwłaszcza że jego obecność nie tylko bardzo im pomogła, ale jeszcze wniosła powiew ożywczej świeżości do ich monotonnego życia. Oboje z Mironem spodziewali się, że po zakończonych żniwach rozliczą się z przybyszem za wykonaną pracę i Rafael odejdzie. W końcu ledwo go przekonali, by został z nimi chociaż tych kilka tygodni.

– A co powiedzicie, żebym ja uczył Michela i Nadię? – zapytał Rafael.

Gdyby w tym momencie piorun spadł im pod nogi, nie zrobiłby takiego wrażenia jak propozycja wędrowca.

– Hmm... no w sumie...może... – Miron próbował sklecić jakąś odpowiedź.

– Nie chcę się oczywiście narzucać – powiedział Rafael, widząc zakłopotanie gospodarza.

– No, masz. Najpierw nie chciał nadużywać, a teraz znowu narzucać się – Tania przyszła mężowi z pomocą. – Po prostu bardzo nas zaskoczyłeś. Spodziewaliśmy się, że będziesz chciał odejść, kiedy tylko skończymy żniwa.

– Faktycznie, taki miałem zamiar – potwierdził Rafael, powoli i starannie dobierając kolejne słowa. – Teraz nie muszę już szukać pracy, a potrzebuję gdzieś przezimować. Poza tym pomyślałem, że waszym dzieciom przydałby się nauczyciel, bo mają naprawdę ogromny potencjał.

Miron pokraśniał na te słowa.

– Ale czego mógłbyś je uczyć? – zapytała rzeczowo Tania.

– Na początek zaczęlibyśmy od nauki pisania i czytania oraz prostych rachunków – odpowiedział Rafael. – Potem, w zależności od tempa nauki i zdolności dzieci, mógłbym je uczyć gramatyki, logiki i podstaw retoryki – wyliczał spokojnym głosem. – Następnie geometrii, arytmetyki, astronomii i przynajmniej teorii muzyki, bo z praktyką możemy mieć kłopot, nie mając żadnych instrumentów.

Miron i Tania patrzyli na niego, jakby zobaczyli go po raz pierwszy życiu. Gospodarz miał lekko otwarte usta.

– Nie wiedziałem, że jesteś aż tak wykształcony – wydusił z siebie Miron.

– To tylko jedna z wielu moich wad – zażartował Rafael.

– Ale to bardzo dużo różnych... rzeczy – stwierdziła Tania. – Na taką naukę potrzeba całych lat!

– Na razie wystarczy, żeby opanować podstawy – rzekł wędrowiec. – Myślę jednak, że nie doceniacie waszych dzieci. Obserwowałem je przez te tygodnie i myślę, że jeśli tylko będą chciały, staną się pojętymi uczniami. – Rafael spojrział na Tanię, która spuściła wzrok. Miron nie zwrócił na to uwagi.

– No, faktycznie są bystre... – powiedział gospodarz. – Ale zdajesz sobie sprawę, że nie będziemy w stanie płacić ci nauczycielskiej stawki? – próbował się usprawiedliwić.

– Wystarczy, jeśli w tym czasie zapewnicie mi wikt i opierunek – stwierdził Rafael.

– Co ty na to? – zapytał Miron żonę.

– Nie ukrywam, że zaskoczyłeś mnie – gospodyni zwróciła się do Rafaela. – Ale myślę, że dużym błędem byłoby nie skorzystać z twojej propozycji.

– W takim razie postanowione! – powiedział gospodarz i klasnął w dłonie. – Kiedy chcesz zacząć?

– Jak tylko skończymy pracę w polu.

– Ooo przyjacielu... Nic z tego! – powiedział Miron. – Po tym czego się teraz dowiedziałem, już mam wyrzuty sumienia, że zagoniliśmy cię do pracy. Ale nic to! Przynajmniej pokazałeś, żeś uczciwy i pracowity człowiek. Jeśli będziesz uczył nasze dzieci, tak jak pracowałeś w polu, to nie mam żadnych obaw.

– Na pewno nie chcecie mojej pomocy?

– Damy sobie radę. Powiedz tylko czego będziesz potrzebował do prowadzenia lekcji.

– Przybory do pisania zrobimy sami, bo skorzystamy z waszych gęsi – uśmiechnął się przybysz. – Ale musimy na czymś pisać. Najlepszy byłby pergamin, bo można go wielokrotnie używać, ale wiem, że jest dość drogi...

– Poczekajcie! – powiedziała Tania i podeszła do drewnianego kufra, który stał w kącie izby. Po chwili wróciła niosąc w ręku zwinięty rulon. – Mamy akurat trzy sztuki!

Miron wytrzeszczył oczy, spoglądając ze zdziwieniem na żonę.

– Pamiętasz jak jeden kupiec nie miał nam czym zapłacić? – zwróciła się do męża. – Zostawił nam wtedy w ramach rozliczenia te pergaminy. W drodze powrotnej miał je odebrać i zostawić pieniądze, ale już nigdy się nie pojawił. Powiedziałeś wtedy, że to była najgorsza transakcja w twoim życiu!

– Faktycznie tak było! – zaśmiał się gospodarz. – Kto mógł przypuszczać, że będzie z nich jakiś pożytek?

– Świetnie. W takim razie jutro pójdę do miasta zapytać o inkaust. I będziemy mieli już wszystko – powiedział Rafael.

– No i trzeba powiedzieć dzieciom, że od jutra chodzą do szkoły – zażartował Miron.

– Jestem pewna, że się ucieszą – powiedziała Tania. – Tym bardziej, że naprawdę cię polubiły.

Następnego dnia, kiedy dzieci wstały na śniadanie, dowiedziały się od rodziców, że Rafael będzie ich nauczycielem i zaczną mieć lekcje w domu. Nowo upieczony nauczyciel stał jak zamurowany, gdy rzuciły mu się na szyję. Po chwili on także je objął. Tego dnia Rafael nie poszedł już do pracy w polu, tylko z Michelem i Nadią przygotowywał wyposażenie ich „klasy”, która miała być urządzona w kuchni.

Najpierw poszli do warsztatu, by z kilku desek zbić niewielką tablicę, a do niej przytwierdzić jeden pergamin. Tak przygotowaną tablicę umieścili na ścianie w kuchni po

lewej stronie od wejścia, naprzeciwko stołu. Następnie poszli do zagrody, by zdobyć kilka gęsich piór. Rafael pokazał dzieciom w jaki sposób należy je nacinać, by nadawały się do pisania. Michel i Nadia byli zachwyceni, natomiast gęsi nieprzyzwyczajone do takich zabaw, okazywały znacznie mniej entuzjazmu.

Potem wybrali się do osady zapytać o inkaust. Okazało się, że akurat jeden z kupców miał odpowiednią ilość. Nie był tani, ale Rafael wiedział, że próbując zrobić go samodzielnie jakąś domową metodą, szybko zniszczyliby pergaminy. Miał tylko nadzieję, że Miron nie będzie miał mu za złe takiego wydatku.

Gdy wrócili do domu, od razu zaczęli pierwszą lekcję. Rafael wypisał na tablicy wszystkie litery, a następnie wskazując po kolei każdą z nich, uczył dzieci ich nazw. Potem Michel i Nadia mieli przepisać pierwsze litery na swoje pergaminy. Rafael nie komentował pracy dzieci, ale widział, że jego uczniowie bardzo dobrze sobie radzą i ani się nie obejrżeli była już pora obiadu.

W taki sposób rozpoczęła się nauka dzieci Mirona i Tani. Każdego dnia rozpoczynali lekcje zaraz po śniadaniu i trwały one aż do obiadu. Potem wychodzili na spacer, najczęściej w stronę młyna i Rafael opowiadał im o historii, geografii i ciekawostkach ze swoich podróży.

Kolejne tygodnie mijaly bardzo szybko. Gdy przyszła jesień i dni stawały się coraz krótsze, wychodzili po kolacji na zewnątrz, by obserwować niebo. Rafael uczył ich jak rozpoznać najważniejsze gwiazdozbiory, opowiadał o ruchach ciał niebieskich oraz ich znaczeniu dla przyrody, a także w jaki sposób podczas drogi można odnaleźć właściwy kierunek.

Michel i Nadia uczyli się w błyskawicznym tempie i gdy na początku grudnia spadł pierwszy śnieg, okrywając białym puchem okoliczne pola, potrafili już płynnie pisać i czytać oraz wykonywać obliczenia matematyczne. W międzyczasie ćwiczyli już retorykę, wynajdując coraz ciekawsze argumenty na poparcie swoich wypowiedzi.

Miron pewnego razu trafił na lekcję, podczas której Rafael wyjaśniał dzieciom podstawowe zasady logiki i gospodarz zorientował się po chwili, że trudno mu zrozumieć, o czym tak naprawdę jest mowa. Nie przeszkadzało mu to jednak w najmniejszym stopniu, ponieważ był dumny ze swoich pociech. Był też przekonany, że Rafael jest dobrym nauczycielem, bo miał anielską cierpliwość: nigdy nie podnosił głosu ani nie okazywał zdenerwowania. Nauczyciel potrafił po kilka razy wyjaśniać jakieś pojęcie, aż był pewien, że jest dobrze zrozumiane. Przez to dzieci, nawet gdy miały jakąś trudność, nie traciły zapалу do nauki ani też szacunku, jakim obdarzały swojego mistrza, jak czasem nazywały Rafaela.

Tania natomiast przysłuchiwała się lekcjom dzieci z niegasnącym uśmiechem na ustach i Rafael kilka razy miał wrażenie, że gdy tłumaczył dzieciom jakieś nowe zagadnienie, ich matka odruchowo kiwała głową. To zrodziło w nim pewne podejrzenia, ale wolał nie podejmować pochopnie żadnych kroków, bo wiedział, że najlepsza okazja zazwyczaj zjawia się sama.

Faktycznie pewnego dnia, tuż przed nowym rokiem, skończyli lekcje trochę wcześniej niż zwykle. Dzieci ubrały się szybko i wyszły pobawić się na zewnątrz. Miron jeszcze nie wrócił z osady, gdzie miał umówione spotkanie z jednym kupcem. Tania właśnie kończyła przygotowywać obiad, a Rafael siedział przy stole udając, że porządkuje swoje rzeczy.

– Dzieci naprawdę świetnie sobie radzą – powiedział do Tani, która zajęta pracą pokiwała głową, nawet się nie odwracając. – Teraz chciałbym zacząć przerabiać z nimi sylogizmy, ale nie jestem pewien czy sobie poradzą...

– No wiesz, argumentowanie nigdy nie jest... – przerwała natychmiast, odwróciła się do wędrowca i wyglądała jakby chciała ugryźć się w język.

Rafael popatrzył jej prosto w oczy i dopiero po chwili zapytał:

– Kim ty jesteś, Tania?

– Nie rozumiem – odpowiedziała gospodyni, mając czerwone wypieki na twarzy, ale wytrzymując jego spojrzenie.

– Zwykła chłopka nie mogłaby wiedzieć co to są sylogizmy, a ja nigdy przedtem nie użyłem tego słowa. Nie jesteś stąd, prawda?

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedziała Tania, coraz lepiej panując nad sobą.

– To miałyby sens, bo wyjaśniałoby niezwykłą inteligencję twoich dzieci – rzekł Rafael. – Przyznaję, że na początku zmyliła mnie twoja karnacja, bo spotkaliśmy się, gdy był środek lata, ale teraz rozpoznałem te rysy. Jesteś z południa?

– Zamilcz! – syknęła gospodyni, widząc w oknie Mirona, do którego dołączyli już Michel i Nadia. – Nie tu i nie teraz... – rzekła, grożąc Rafaelowi widelcem. Jej oczy rzuciły gromy i błyszczały złowrogo.

Rafael tylko kiwnął głową, uśmiechając się. Wiedział, że niedługo wrócą do tej rozmowy.

IV ROZDZIAŁ – OJCIEC

Coraz krótsze dni mijały szybko i wkrótce rozpoczął się nowy rok, przynosząc obfite opady śniegu i trzaskający mróz, który wszystkim dawał się we znaki. Każde wyjście na zewnątrz było teraz niezwykle przykrym doświadczeniem, ponieważ zimne powietrze dotkliwie atakowało każdą, nieodpowiednio zakrytą część ciała. Zaraz na początku zimy życie rodzinne przeniosło się do kuchennej izby, gdzie było najcieplej, a z czasem urządzono w niej także sypialnię.

Jeszcze zanim przyszły mrozy, Miron razem z synem i Rafaelem poświęcili kilka dni na uszczelnienie stodoły, zatykając wszystkie dziury i szpary oraz przygotowując pojemniki na paszę dla zwierząt, jednak teraz gospodarz obawiał się, że to może nie wystarczyć i za każdym razem szedł do zwierząt z niepokojem w sercu. Pocieszał się jednak myślą, że w ostatnich latach zima nigdy nie trwała zbyt długo, więc i tym razem wszystko powinno skończyć się dobrze.

Rafael w przerwie między lekcjami szukał okazji, by wrócić do rozmowy z Tanią, jednak nie miał możliwości, by zostać z nią w cztery oczy. Wiedział też, że lepiej nie zaczynać tego tematu przy Mironie, który najwidoczniej nie miał pojęcia o pochodzeniu swej żony. W końcu nauczyciel postanowił użyć prostego fortelu, ale musiał poczekać na odpowiedni moment.

Gdy siedzieli razem po skończonej kolacji, w izbie było prawie zupełnie ciemno. Jedynymi źródłami światła był żar rozpalonego pieca i świeca, która dogasała już na środku stołu. Rafael uznał, że to dobra chwila, żeby wprowadzić swój plan w życie.

- Opowiedz mi coś o swojej rodzinie – powiedział do gospodarza, jakby od niechcena.

Rafael zorientował się, że gdyby tylko wzrok mógł zabijać, rozpalone oczy Tani, która od razu odgadła jego intencje, zamieniłyby go w kupkę prochu. Natomiast Miron, nieświadomy niczego, zamyślił się, jakby szukał drogi do dawno zakopanych wspomnień.

- To długa historia... – powiedział po chwili milczenia. – Nie wiem, czy jestem w nastroju...

- Skarbie, jeśli nie masz ochoty opowiadać, jestem pewna, że Rafael to zrozumie – powiedziała gospodyni słodkim głosem i zmrużyła oczy w wąskie szparki, jakby czegoś wypatrywała w półmroku.

- Tania ma rację – powiedział Rafael. – Wcale nie musimy o tym rozmawiać.

- Nie zrozum mnie źle... – powiedział poważnie Miron, który nie był pewny, czy chce podzielić się wspomnieniami ze swoim gościem. – Po prostu nie jest łatwo wracać do życiowych błędów. Tania zna tę historię. Inna sprawa, że ona jest jej najlepszą częścią... Poczekaj, muszę tylko pomyśleć od czego zacząć... – gospodarz zamyślił się pogrążony we wspomnieniach i po chwili zaczął opowiadać:

– Moi rodzice byli gospodarzami, którzy nie tylko w Mupoksie, lecz w całej okolicy cieszyli się powszechnym szacunkiem. Byliśmy wszystkim znani, bo nasza rodzina uprawiała te ziemie z dziada pradziada. Miałem starszego brata, z którym zawsze żyłem w świetnej komitywie. To on miał przejąć gospodarstwo. Od małego ojciec uczył nas

ciężkiej pracy, ale też zawsze sprawiedliwie wynagradzał. Gdy mieliśmy z bratem po lekko ponad dwadzieścia lat - on dwadzieścia trzy, ja dwadzieścia jeden, - przyszły najlepsze lata dla gospodarstwa. Zbiory były ogromne! Moi rodzice zatrudniali dziesięciu parobków, którym wybudowali niedużą, drewnianą altanę obok domu, taką wiesz, na lato. Jakby tego było mało, któregoś roku mój ojciec postanowił zaryzykować i obsiał część pól jakimiś egzotycznymi nasionami, nabytymi od jednego z kupców. Swoją drogą on sam wyglądał jakby przybył z innego świata. Mówię ci, nie trzeba było chodzić do osady na targowisko, bo kupcy sami ustawiali się w kolejkę i prawie bili o nasze plony. I tak było przez kilka lat... – gospodarz uśmiechnął się i zdrowo pociągnął z kufła grzane piwo, które co jakiś czas Tania przyrządzała na długie zimowe wieczory.

- Mój ojciec w przeciwieństwie do większości gospodarzy chciał nam wypłacać pensję z części zysków, chociaż normalnie synowie chłopów nie dostawali żadnych pieniędzy. Większość gospodarzy w okolicy patrzyła na niego jak na wariata. On zaś mówił, że chce nas uczyć w ten sposób odpowiedzialności. Mój brat ciulał każdy grosz i rozglądał się już za jakąś panną. Ja natomiast wciąż byłem jak dziecko, nieodpowiedzialny i strasznie głupi – skrzywił się Miron. – Każde zarobione pieniądze zawsze przehułałem w gospodzie. Miałem gest: nikt, kto należał do mojego towarzystwa, nie mógł siedzieć przy pustym kuflu. Stąd zawsze wokół mnie kręciło się sporo „przyjaciół” i jeszcze więcej dziewczyn. Moja matka była wściekła. Prosiła, błagała, próbowała mnie przekonywać do bycia rozważniejszym. Nie słuchałem jej. Potem starała się namówić ojca, żeby nie dawał mi już pieniędzy, ale ten odpowiadał, że skoro uczciwie pracuję, to nie ma powodu, abym ich nie dostawał. W międzyczasie mój brat się ożenił i razem ze swoją żoną zamieszkali z nami. Zajęli pokój, w którym teraz śpią dzieci. Ojciec w tamtym czasie zaczynał już patrzeć na mnie krzywym okiem, dając do zrozumienia, że powinienem się ustatkować. Ja jednak byłem zadowolony ze swojego życia i w swojej naiwności myślałem, że tak będzie zawsze... – Miron przerwał opowiadanie i zaczął stukać palcami w blat stołu. Potem mówił dalej:

- Gdy skończyłem trzydzieści lat, mój brat z żoną byli już kilka lat szczęśliwym małżeństwem i mieli dwójkę dzieci. W naszej chacie zaczęło robić się ciasno. Ojciec widząc moje bez troskie życie, zaczął ograniczać mi wypłacane pieniądze, twierdząc, że skoro ja o tym nie myślę, to on musi zabezpieczyć mi przyszłość. Wtedy podjąłem decyzję, która później miała zaważyć na całym moim życiu. Poszedłem do mojego ojca i poprosiłem, żeby wypłacił mi pieniądze, które były moją ojcowizną. Wtedy ten pomysł wydawał mi się naprawdę bardzo dobry – powiedział Miron, mając wypieki na twarzy. – Wiedziałem, że moja prośba opróżni do dna ojcowską sakiewkę, ale nie powstrzymało mnie to przed decyzją. Tłumaczyłem sobie, że zostanie im dom i gospodarstwo, które przyniosą w kolejnych latach równie dobre zyski. Wtedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłem w oczach mojego ojca prawdziwy żal, ale byłem tak przekonany o swojej racji, że nie zmieniłem zdania. Wyobrażałem sobie, że z takimi pieniędzmi będę mógł spokojnie urządzić sobie życie. Wymyśliłem, że udam się do Segardu i tam zamieszkać. W ten sposób chciałem uciec przez wzrokiem i uwagami moich najbliższych, którzy

przecież od początku mieli rację, choć wtedy za nic na świecie bym tego nie przyznał – Tania, która chwilę wcześniej usiadła obok męża, teraz oparła głowę na jego ramieniu.

- Przed wyruszeniem z domu kupiłem sobie bardzo porządne ubranie oraz odpowiednie zapasy na drogę i tak wyszykowany udałem się w podróż, żegnany przez bardzo smutne spojrzenia moich bliskich. Dopiero po miesiącu dotarłem do stolicy prowincji, ponieważ po drodze zatrzymywałem się praktycznie w każdej karczmie i zajęździe. Na miejscu zacząłem rozpytywać ludzi o jakąś pracę, ale synowi rolnika, bez żadnego zawodu, nikt nie miał niczego do zaproponowania. Pomyślałem, że spędzę zimę wynajmując pokój w jakiejś niedrogiej gospodzie i nacieszę się wolnością oraz pobyt w mieście. Przez krótką chwilę wszystko wydawało się proste i jedynie jakieś drobiazgi były moimi zmartwieniami... – powiedział Miron, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- Szybko przekonałem się, że takie życie jest drogie i za wszystko trzeba płacić. Po kilku miesiącach, gdy wreszcie przyszła wiosna, zacząłem znowu rozglądać się za pracą. Wielu gospodarzy miało dla mnie coś do roboty, ale okazało się, że płacili mniej, a wymagali znacznie więcej niż mój ojciec od swoich parobków. Często się z nimi kłóciłem, wytykając im błędy i narzekając na niskie zarobki. U nikogo nie zabawiłem dłużej niż kilka tygodni. Nie miałem jednak zamiaru wracać. Czasami zastanawiałem się, co słyhać w moim rodzinnym domu i wtedy wypytywałem kupców, którzy przybywali z Mupoksu, o gospodarza mieszkającego za bramą południowo-zachodnią. Za każdym razem upewniałem się, że moi bliscy mają się dobrze. Wiedziałem też, że moja bratowa spodziewa się trzeciego dziecka.

Rafael od początku słuchał Mirona, łowiąc każde słowo. Musiał przyznać, że nie tego się spodziewał, prowokując pytanie o rodzinę. Teraz jednak był coraz bardziej ciekaw, jak ten młody człowiek stał się gospodarzem, u którego zamieszkał kilka miesięcy temu. Co musiało się stać, że zaszła w nim aż taka przemiana? I gdzie są teraz jego bliscy, którzy przecież mieszkali w tym domu?

- W tym właśnie miejscu zaczyna się ta smutna część mojej historii – głos gospodarza wyrwał Rafaela z zamyślenia. – Pewnego dnia, gdy wracałem z pracy, zobaczyłem grupę cesarskich żołnierzy stojących na samym środku rynku. Nerwowo rozmawiali między sobą i wyglądali na bardzo przejętych. Wokół nich zaczęli gromadzić się mieszkańcy miasta. Wszyscy byli ciekawi, co sprowadziło tak niespodziewanie nowy oddział wojska. Podchodząc coraz bliżej, zauważyłem, jak z tłumu wybiegają ludzie i pędzą w różnych kierunkach. Gdy byłem na tyle blisko, że dochodziła do mnie treść rozmów, usłyszałem słowo, które zmroziło mi krew w żyłach: „zaraza”. Rozejrzałem się i zobaczyłem, że wszyscy są przerażeni. Próbowałem jakoś zebrać myśli, bo na początku zakręciło mi się w głowie. Moją pierwszą myślą był strach o własne życie. Dochodziły do mnie tylko fragmenty zdań, które wypowiadali wokół mnie ludzie: „Ale gdzie? Tu w mieście?”, „Nie, ale już na terenie prowincji”, „Żołnierze przybyli, by objąć poszczególne miejsca kwarantanną”, „Czym objąć?”, „No, żeby nikt nie mógł wchodzić ani wychodzić”, „Słyszałem, że umarło już mnóstwo osób”, „Ktoś wie, gdzie się zaczęło?”, „Słyszałem od kogoś, że w jakiejś małej osadzie na południowym wschodzie”, „Jak ona

się nazywała?”, „Mupoks! Pamiętam dobrze, że tak mówili żołnierze”. – Miron zrobił przerwę w opowiadaniu i na chwilę schował twarz w dłoniach.

- Pociemniało mi w oczach, gdy usłyszałem nazwę mojej osady. Do dziś zresztą dźwięczą mi w uszach tamte słowa. To było naprawdę straszne. W jednej chwili przestałem bać się o siebie, a zacząłem drżeć o moich bliskich. Nie dopuszczałem do siebie myśli, że coś mogło im się stać. Wiedziałem, że muszę natychmiast wracać. Czulem, jakby ktoś przygniótł mi serce jakimś wielkim kamieniem. Pobiegnę do gospody po swoje rzeczy i już za chwilę byłem gotowy do drogi. Wybiegłem z miasta i gnałem przed siebie. Zatrzymałem się dopiero po przebyciu kilku mil, gdy nie mogłem już złapać oddechu i czulem, jak pali mnie ogień w piersi. Zmęczenie sprawiło, że mogłem jaśniej pomyśleć o obecnej sytuacji i uświadomiłem sobie, jak bardzo jest beznadziejna. Zacząłem iść dalej szybkim krokiem, bo wiedziałem, że liczy się każda sekunda. Do głowy przychodziły mi najczarniejsze myśli: „Zostawiłem ich samych... bez pieniędzy, które teraz mogłyby ratować im życie”. Ty skończony durniu! „Są teraz sami... Może nie ma nikogo, kto mógłby się nimi zająć, bo każdy się boi wyjść ze swojej chaty...”. Ty idioto! „A co, jeśli stało się najgorsze?” Ty cholerny egoisto! To były słowa, które towarzyszyły mi w czasie drogi. Miałem wrażenie, że oszaleję albo coś sobie zrobię. Wtedy odkryłem, że najgorszy ból jaki może istnieć, to wyrzuty sumienia.

- Drogę powrotną do Mupoksu pamiętam jak przez mgłę. Byłem w takim stanie, że nie odróżniałem dnia od nocy. Widziałem tylko drogę. Zatrzymywałem się jedynie wtedy, gdy już naprawdę zasypiałem na stojąco, ale ten sen nie przynosił wypoczynku, lecz same koszmary. Musiałem wyglądać kiepsko, bo niektórzy podróżni bez prośzenia wciskali mi w rękę kawałek chleba albo podawali łyk wody. Mijałem po drodze grupy żołnierzy - przepuszczali mnie, gdy mówiłem, że idę do rodziny. Widziałem coraz więcej ułożonych z ciał zmarłych, płonących stosów, które śmierdziały niemilosierdzie i napawały grozą. Wreszcie po pięciu dniach dotarłem na miejsce.

Z daleka zobaczyłem moją osadę otoczoną nie tylko palisadą, ale i oddziałem wojska. Gdy żołnierze mnie spostrzegli, odwrócili się w moją stronę i wyciągnęli broń.

- Idę do rodziny – krzyknąłem do nich z daleka, nie zatrzymując się ani nie zwalniając kroku.

- W mieście jest zaraza – odkrzyknął jeden z nich. – Nie można wchodzić ani wychodzić!

- Ja muszę! – zawylem z rozpacz. – Tam są moi bliscy!

- Raczej byli... – stwierdził bezlitośnie inny. – Z tego co wiemy, bardzo dużo osób zmarło. Gdzie mieszkali twoi?

- W gospodarstwie po drugiej strony osady, zaraz za bramą południowo zachodnią! – wyrecytowałem jednym tchem.

- Jeżeli zachorowali, a jeszcze żyją, to muszą być w świątyni – stwierdził żołnierz. – Tam przenosi się wszystkich, których dotknęła zaraza. Pozostali objęci są aresztem domowym i mają zakaz opuszczania domów.

- Wpuście mnie, błagam! – powiedziałem, patrząc w oczy każdemu z nich i szukając wsparcia.

- Masz świadomość tego, że potem nie wyjdiesz? – zapytał jeden, który dołączył do rozmowy, a wyglądał na dowódcę. – Mieszkańcy wiedzą, że jeśli ktoś zbliży się do bramy, dostanie strzałę między oczy...

- Zgoda, zgoda... - powiedziałem nieprzytomnie. – Tylko pozwólcie mi wejść do środka.

Ten, który wydawał się dowódcą, skinął głową na pozostałych i ci zrobili mi przejście. Rzuciłem się biegiem w kierunku miasta, przebiegłem kawalek ulicy i przerażony wpadłem do świątyni. W środku było kilkanaście osób, które leżały na siennikach lub na gołej ziemi i jęczały z bólu. Cuchnęło chorobą, a w powietrzu unosiły się strach i śmierć. Nigdzie nie mogłem wypatrzeć moich bliskich. Próbowałem wołać ich po imieniu, ale nikt się nie odezwał. Wybiegłem na zewnątrz i przez ulicę morską pobiegłem do bramy, prosto do gospodarstwa mojego ojca. Gdy byłem już blisko, zobaczyłem drzwi wymalowane białą farbą - to znak, że w środku ktoś zachorował. „Ale nikogo nie było w świątyni... czy to znaczy...?” Strach ścisnął mi gardło. Nie zastanawiałem się nad tym, tylko bez żadnego pukania wszedłem do środka. Mój ojciec siedział nieruchomo przy stole i miał głowę schowaną w dłoniach. Na blacie znajdował się bukiet róż z ogrodu matki – uwielbiała kwiaty, starając się, by w domu były za każdym razem świeże i pachnące. Ich widok jeszcze mocniej przeszył mi serce, gdyż róże w glinianym wazonie były szerniałe, uschnięte i wyglądały po prostu żałośnie. Gdy ojciec podniósł wzrok, zrobił minę, jakby zobaczył ducha.

- Ojcie, wróciłem – powiedziałem i łzy napłynęły mi do oczu. Ojciec wstał od stołu, podszedł do mnie i rzucił mi się na szyję, a była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałem.

- Tak mi przykro... – szlochałem w jego ramię. – Tak bardzo żałuję, że was zostawiłem!

Ojciec nic nie mówił, ale jego uścisk wyrażał wiele. On też płakał.

- A gdzie pozostali? – spytałem, gdy byłem już w stanie coś z siebie wydusić. Ojciec wskazał izbę po prawej stronie. Zza uchylonych drzwi zobaczyłem leżącego na łóżku brata, który miał ropne wrzody na twarzy i rękach, wystających spod okrycia. Gdy zbliżyłem się do niego, spostrzegłem, że śpi i jest sam w izbie. Odwróciłem się do ojca z niemym pytaniem na twarzy.

- Na początku zachorowały dzieci, od razu cała trójka – zaczął opowiadać ojciec. – Wtedy twoja matka i bratowa zdecydowały, że udadzą się do świątyni, gdzie nakazano przenosić chorych, by się nimi zajmować. Oprócz nich przyszło kilka innych kobiet z najbliższych gospodarstw, gdzie też byli chorzy. Grupa ochotników, złożona z mężczyzn, przenosiła chorych do świątyni z tych domów, na których pojawił się znak wymalowany białą farbą. Zgłosiło się sporo osób, w tym ja i twój brat. To były straszne dni. Zielarz prawie od razu udostępnił wszystkie swoje zapasy, ale chorych cały czas przybywało, a zaraza nie ustępowała. Nie mieliśmy eliksirów, bo wszystkie wykupili kapłani i odeszli,

zanim żołnierze zamknęli dostęp do osady. Tłumaczyli, że dostali polecenie, by dostarczyć je do stolicy prowincji – zrobiłem wielkie oczy, bo po drodze nie spotkałem ani jednego kapłana.

- Już po kilku dniach śmierć zaczęła zbierać żniwo – mówił dalej ojciec. – Nie było żadnej reguły: umierały dzieci i starcy, kobiety i mężczyźni. Bez przerwy przynosiliśmy chorych do świątyni, ale coraz częściej musieliśmy kopać nowe groby. Nikt się nie zgodził na palenie ciał zmarłych. Podobno po śmierci zaraza traci swoją moc, ale nie miało to żadnego znaczenia. Chcieliśmy być z tymi, którzy odeszli... – ojciec zrobił przerwę, a ja spuściłem głowę, bo już wiedziałem co usłyszę. – Najpierw umarły dzieci: po czterech, po sześciu i po trzynastu dniach. Zaraz po nich umarła twoja bratowa. Nie zdążyła zachorować... Myślę, że umarła z rozpacz. Wtedy twoja matka postanowiła nie wracać już domu. Chciała zrobić wszystko, by pomóc pozostałym. Zostało przy niej kilka najdzielniejszych kobiet, które stwierdziły, że są już za stare, by bać się śmierci i tylko jedna młoda dziewczyna.

- Byłem w świątyni, zanim dotarłem do domu – usłyszałem swój własny głos. – Ale nie spotkałem tam matki...

- Zmarła trzy dni temu... - odpowiedział ojciec. Przetarł podkrążone i bardzo zmęczone oczy, z których teraz po policzkach płynęły łzy. – Przez prawie miesiąc nie poddawała się i była bardzo dzielna. Tylko dzięki niej niektórzy zaczęli pomagać chorym. Ale coś w niej pękło w momencie, gdy zachorował twój brat, a od ciebie nie mieliśmy żadnych wieści. To było dla niej zbyt wiele. Pochowaliśmy ją niedaleko naszego domu, obok synowej i wnuków – ojciec wskazał miejsce za oknem, które bardzo dobrze znałem.

Nie mogłem wydusić z siebie ani jednego słowa. Głowa pękała mi od setek myśli, a serce rozrywały na strzępy żal i smutek. To było zbyt wiele. Wiedziałem, że jeśli zaraz czegoś nie zrobię, to na pewno zwariuję.

- Ojcze, czy mogę wam jakoś pomóc?

- Twojemu bratu nie zostało już dużo czasu... – odpowiedział mi ojciec. – Mógłbyś z nim porozmawiać, kiedy się obudzi. Myślę, że będzie chciał cię zobaczyć...

Powiedział to tylko po to, żeby mnie pocieszyć. Wiedziałem, że to niemożliwe. Mój brat stracił wszystkich, których kochał, a teraz sam był o krok od śmierci. Ja natomiast odszedłem z rodzinnym majątkiem i przez rok nie dałem znaku życia. Oni walczyli o siebie nawzajem, podczas gdy ja nie potrafiłem zmierzyć się nawet z własnym egoizmem.

- Ojcze? - zerwaliśmy się na równe nogi, słysząc głos mojego brata zza drzwi. – Rozmawiasz z kimś?

- Tak. Twój brat wrócił – odpowiedział ojciec bez żadnych wstępów.

- Miron? – mój brat starał się podnieść, by zobaczyć, czy ojciec mówi prawdę. Udało mu się zaledwie trochę unieść głowę.

W jego oczach zobaczyłem mieszankę zaskoczenia, niechęci i... ulgi. Ojciec wstał, wszedł do jego pokoju i zamknął za sobą drzwi, zostawiając mnie samego w kuchni. Słyszałem, że rozmawiają. Ojciec mówił swoim spokojnym głosem, tak jakby coś

tłumaczył, a mój brat tylko od czasu do czasu odpowiadał. Chociaż zżerała mnie ciekawość, nie chciałem podsłuchiwać.

W mojej głowie kotłowało się mnóstwo myśli. Nie mogłem uwierzyć, że nie zobaczę mojej matki, że nie porozmawiam z bratową, że nie uściskam jej dzieci. Poczucie winy było nie do wytrzymania.

- Twój brat chce z tobą porozmawiać – usłyszałem za plecami głos ojca.

Wszedłem do pokoju i usiadłem obok siennika, na którym leżał chory. Miał wielkie sińce pod oczami i zapadnięte kości policzkowe. Widziałem jak trawi go gorączka, która raz po raz wstrząsała pokaleczonym ciałem. Myślałem, że pęknie mi serce.

- A więc wróciłeś... Przez długi czas miałem do ciebie ogromny żal... – powiedział, patrząc w sufit. Nie odezwałem się ani słowem. Nie miałem zresztą nic do powiedzenia. – Za to, że odszedłeś, że nas zostawiłeś, że cię nie było, kiedy przyszła zaraza i kiedy oni umierali... - z jego oczu zaczęły płynąć łzy.

- Nawet nie wiesz, co bym dał, żeby móc zmienić przeszłość... – powiedziałem, ale dał mi znak ręką, że bym umilkł.

- Nie ma sensu myśleć w ten sposób. Zrobiliśmy wszystko, co się dało. Przecież nikogo byś nie uratował, gdybyś tu był. Ale wróciłeś i to się liczy. Ojciec nie będzie sam... - widać było, że mówienie kosztuje go dużo siły. – Ja nie boję się śmierci. Teraz nawet na nią czekam, bo mam nadzieję, że ich spotkam. Mielśmy dobre życie. Jeśli czegoś żałuję, to tylko tego, że za często się bałem. Nie tylko przez ostatnie tygodnie, ale znacznie dłużej. Wiele rzeczy, które robiłem, wynikało ze strachu: o oczekiwania rodziców, o rodzinę, o przyszłość, o pracę... Jakie to było głupie! – zakaszlał i zobaczyłem, że na ręce zostały mu ślady krwi. – Dobrze, że okazałeś odwagę. Wróciłeś, choć przecież wcale nie musiałeś. To jest ostatnia rzecz, którą chciałem ci powiedzieć... byś nigdy się nie bał! Strach to najgorszy przeciwnik... - powiedział i podniósł się resztkami sił, wyciągając rękę w moją stronę. Uścisnęliśmy się jak przystało na braci. Jakbyśmy znowu mieli po dwadzieścia lat.

Po chwili trwającej kilka sekund, a może kilka godzin, złożyłem na posłaniu martwe ciało mojego brata.

Rafael, słuchając Mirona, dyskretnie rozglądał się wokół, próbując wyobrazić sobie sceny, rozgrywające się w domu gospodarze – niemym ich świadku. Poruszyło go, że chata, która dała mu schronienie i stała się domem, była miejscem tak wielkich cierpień i smutku. Może dlatego Miron jako jedyny zaproponował mu nocleg w swoim domu tego pamiętnego wieczoru? Bo pamiętał słowa brata i się nie bał...

- To właśnie wtedy poznałem Tanię – powiedział gospodarz i po raz pierwszy od dłuższego czasu się uśmiechnął. – Ale to historia na inną okazję...

Nauczyciel podziękował i bez słowa udał się na swoje posłanie, natomiast Miron i Tania jeszcze przez jakiś czas siedzieli przytuleni do siebie, ale po chwili także oni udali się na spoczynek.

V ROZDZIAŁ – ŚWIĄTYNIA

Tak jak przewidywał Miron, mrozy szybko ustąpiły i przez okna zaczęły zaglądać ciepłe promienie słońca, które wszystkim poprawiły nastroje, ponieważ wreszcie można było bezpiecznie wyjść z domu, nie narażając się przy tym na odmrożenia i przeziębienie. Dopiero teraz gospodarz mógł wrócić do swojego „dziennego rytuału”, jak żartobliwie nazywała go Tania. Czasem wprawiało to Rafaela w zakłopotanie, gdyż Miron nie miał poczucia humoru swojej żony i najczęstszą odpowiedzią było ciche burczenie pod nosem. Nauczyciel jednak szybko się zorientował, że dla Mirona zaraz po rodzinie ziemia była po prostu największą pasją i miłością: gospodarz każdego dnia wstawał o tej samej porze, ubierał się, jadł śniadanie i wychodził z domu. Najpierw sprawdzał troskliwie stan zasianych nasion, przechadzając się błotnymi ścieżkami, następnie szedł do drzew owocowych w sadzie, niemal z pieśczołą dotykając kory najmniejszych jabłonek i wracał do domu dopiero na obiad, by przez kolejne godziny opowiadać o stanie gospodarstwa i swoich przewidywaniach pogodowych na nadchodzące lato.

Rafael słuchał Mirona, chociaż warunki panujące na zewnątrz nie obchodziły go w najmniejszym stopniu. Mimo tego nauczyciel starał się znaleźć czas i cierpliwość, by po raz setny usłyszeć te same opowiadania i komentarze.

Tania natomiast trzymała się z boku, zajmując się domem i z dumą śledząc postępy dzieci zdobywających wiedzę w takim tempie, w jakim wysuszona ziemia pochłania życiodajny deszcz. Gospodyni obserwowała też dyskretnie nauczyciela - ku jej zaskoczeniu nie wracał on do ich rozmowy, ponieważ był całkowicie pochłonięty każdą minutą spędzoną z uczniami. Tania dostrzegła w oczach Rafaela jakiś nowy wyraz, którego na pewno nie było tam wcześniej, a który pojawiał się tylko i wyłącznie, gdy nauczyciel pracował ze swoimi podopiecznymi, a potem ulatniał się niczym sen po przebudzeniu. To złagodziło stosunek gospodyni do ich gościa, ponieważ w tym spojrzeniu była dziwna mieszanka smutku, dumy i... nadziei.

Zazwyczaj po skończonym obiedzie Michel i Nadia wychodzili z domu, i zaraz biegli w kierunku młyna, gdzie czekali już na nich Lucas i Edna, dzieci gospodarzy z sąsiedztwa. Lucas miał dwanaście lat i był pulchnym blondynem o niebieskich oczach, jego siostra była dwa lata młodsza i miała wesołą piegowatą twarz, gęste, ciemne włosy i zielone oczy. Oprócz nich przychodzili jeszcze Damien, dziewięcioletni syn kowala o przysadzistej budowie i wiecznie rozczochranych włosach oraz Aida, córka jednego z kupców, która była najmłodsza i najgłośniejsza w całej grupie. Tania patrzyła na wesołą i hałaśliwą gromadkę przez okno, ciesząc się, że jej dzieci mają z kim spędzać wolny czas. Jej dzieciństwo nie było tak bez troskie.

Pewnego dnia dzieci postanowiły pobawić się w chowanego przed domem Michela i Nadii, ponieważ mieli największe podwórko i było tu najwięcej ciekawych skrytek. Śmiech i krzyki dzieci niosły się po całej okolicy, zwłaszcza gdy pojawiały się kwestie

sporne, takie jak: kto pierwszy dotarł na miejsce, albo czy ktoś nie oszukał przy odliczaniu. Po skończonej zabawie, dzieci usiadły na dużej ławce opartej o ścianę stodoły, żeby chwilę odpocząć.

- A właściwie dlaczego wy nigdy nie wychodzie z domu przed południem? – zapytała Edna, która usiadła między Michelelem a Damienem.

- Mamy wtedy lekcje – powiedziała Nadia.

- Co macie? – wydyszał syn kowala, wciąż nie mogąc złapać oddechu.

- No, uczymy się w domu – tym razem odpowiedział Michel.

- Hehe, ciekawe czego? – zarechotał Lucas.

- Na początku mieliśmy lekcje czytania, pisanie i rachunków – wymieniała dziewczynka. – Potem doszła gramatyka, geometria i astronomia. Uczymy się też geografii i historii.

Pozostałe dzieci patrzyły na nią z otwartymi ustami.

- To naprawdę jest super! Wiecie na przykład, że Cesarstwo jest podzielone na dziewięć prowincji? – zapytał Michel, który jak każde dziecko chciał zaimponować zdobytą wiedzą.

- A co to jest Cesarstwo? – spytała Aida.

- No, ... kraj, w którym mieszkamy – odpowiedział nieco zdziwiony chłopiec. Widać było, że pozostali też pierwszy raz usłyszeli tę nazwę.

- A kto was uczy? – dopytywał się Damien.

- Ma na imię Rafael – odpowiedziała Nadia. – Najpierw pracował z ojcem w polu, a potem został naszym nauczycielem.

- To ten błąd, co u was mieszka? – zapytał Lucas, rozglądając się czy ktoś go nie słyszy. – Mój ojciec powiedział, że nigdy by takiego nie zaprosił do domu. Wystarczy spojrzeć mu w oczy...

- Co ty gadasz? On jest w porządku – powiedział speszony Michel, którego słowa Lucasa dotknęły do żywego; on sam nigdy nie pomyślał o Rafaelu w podobny sposób.

- A mój tata powiedział, że on może być niebezpieczny – powiedział Damien. – Raz nawet widział, jak prawie pobił się z żołnierzami w gospodzie.

- Niemożliwe – powiedziała Nadia, której policzki nabrały mocnych rumieńców. – Na nas ani razu nie krzyknął.

- A nasza mama powiedziała jeszcze, że powinni się nim zainteresować kapłani ze świątyni – stwierdziła Edna. – Bo ani na jesień, ani przed nowym rokiem nie uczestniczył w świątach!

- Przestańcie tak o nim mówić! – krzyknęła Nadia piskliwym głosem i łzy napłynęły jej do oczu. – Przecież w ogóle go nie znacie!

- Ja nie mam zamiaru nawet się do niego zbliżać – powiedział Lucas. – Bo jeszcze rzuci na mnie jakiś urok.

- Szkoda, że tak się go boisz... – rzekł Michel, który mimo wszystko, jeszcze nie dał się sprowokować. – Mógłbyś go poznać i przekonać się, że twoi rodzice są błędnie.

- Zobaczysz, że będą przez niego tylko kłopoty. – syknął Lucas, zaciskając pięści.
– Wy będziecie mieli przez niego kłopoty! Moi rodzice wiedzą, co mówią!

- Dzieci, myślę, że na dzisiaj wystarczy już tych zabaw – powiedziała Tania, która nagle pojawiła się w drzwiach domu naprzeciwko dzieci. Zapłakana Nadia wbiegła do środka, Damien i Aida szybko się pożegnali i pobiegli w kierunku miasta, natomiast twarze Lucasa i Edny przybrały teraz kolor świątecznego barszczu. Wydawało się, że chłopiec będzie jeszcze chciał coś powiedzieć, ale spokojne spojrzenie Tani ostudziło jego zapał.

- No to cześć – zaburczał tylko pod nosem i razem z siostrą poszedł w stronę młyna.

Michel był pewien, że matka się zdenerwuje, zacznie krzyczeć i ich upominać - niekoniecznie w takiej kolejności. Tania po prostu weszła z powrotem do domu, zostawiając za sobą otwarte drzwi, a zdezorientowany syn poszedł za nią.

Nadia usiadła przy stole i głośno szlochała, wycierając nos w płócienny rękaw koszuli, bo w uszach dźwięczały jej wciąż słowa sąsiadów, których do tej pory uważała za swoich przyjaciół. Oczywiście, nieraz zdarzało się im kłócić: w co się będą bawić, kto ma być z kim w drużynie albo kto będzie berkiem. Chłopcy średnio raz na kilka dni pobili się i trzeba było ich rozdzielać, a dziewczyny przekrzykiwały się wniebogłose i trzeba było je uspokajać. Często też ze sobą rozmawiali, zwłaszcza w przerwach między zabawami, opowiadając sobie, co słychać w ich domach, jak się czują rodzice, jak wygląda praca, ale nigdy nie rozmawiali ani o mieszkańcach osady, ani o innych osobach.

- Matko, słyszałaś, co Lucas powiedział o Rafaelu? – zapytał Michel, gdy tylko wszedł do środka.

- Tak, słyszałam całą waszą rozmowę. – powiedziała Tania, podając córce haftowaną chusteczkę. – Muszę powiedzieć, że zachowałeś się bardzo dojrzałe nie zaczynając kłótni. A ciebie, Nadio, chcę pochwalić, że stanęłaś po stronie prawdy.

Dziewczynka uśmiechnęła się gorzko, przestając na chwilę płakać, ponieważ uwaga matki podniosła ją na duchu i chociaż trochę osłodziła serce. Michel natomiast stał w miejscu i zastanawiał się co najlepiej zrobić. Najchętniej poszedłby do domu Lucasa i sprzał go na kwaśne jabłko. Gdyby go teraz spotkał, kazałby mu odwołać wszystko co powiedział o ich nauczycielu. Jak on w ogóle mógł coś takiego powiedzieć? Przecież Rafael to najlepszy człowiek na świecie, który w dodatku zna się na tylu rzeczach i potrafi odpowiedzieć na każde pytanie. Ktoś taki głupi jak Lucas nawet nie może się z nim równać...

Tania przyglądała się dzieciom z wyraźną troską, chociaż w głębi serca spodziewała się, że prędzej czy później do tego dojdzie. Była pewna, że gościna okazana nieznanemu wędrowcowi, prędzej czy później, stanie się przyczyną plotek w osadzie, bo ludzie zawsze znajdują doskonałą rozrywkę w obmawianiu innych. Wiedziała o tym od początku i starała się tym nie przejmować, ale teraz zaniepokoiło ją zdanie o świątyni i kapłanach.

Rafael faktycznie unikał świątyni jak ognia i nie poszedł na święto, które odbywało się zaraz po zakończonych żniwach. Usprawiedliwił się wtedy złym samopoczuciem. Potem przed nowym rokiem, jeszcze zanim zaczęły się te nieznośne mrozy, też z nimi nie poszedł. Wtedy Tania nie przejmowała się tym w najmniejszym stopniu, bo przecież oboje z Mironem uważali, że udział w poszczególnych świętach, choć obowiązkowy, nie tak naprawdę nie wnosi do życia. Każda uroczystość polegała na zapaleniu kadzidła przed posągami cesarza, złożeniu ofiary i udziale w niewielkiej uczcie. I tak za każdym razem. Nie mówili o tym Rafaelowi, ale płacili także za niego, więc o co ktokolwiek może mieć pretensje?

Zamyślenie Tani przerwało wejście do domu Mirona z Rafaelem, którzy wcześniej poszli do osady. Gospodarz najpierw dostrzegł Michela, stojącego na środku izby z zaciśniętymi pięściami, potem zapłakaną Nadię, siedzącą przy stole i Tanię, patrzącą na nich zatroskanym wzrokiem. W pierwszej chwili gospodarz pomyślał, że dzieci tylko pokłóciły się między sobą, za to Rafael od razu domyślił się, że stało się coś poważniejszego.

- Co tu się dzieje? – zapytał swobodnie Miron, patrząc na dzieci i żonę.

- Ojciec, oni mówili takie okropne rzeczy o Rafaelu! – wykrzyczała Nadia, podnosząc głowę i chcąc jeszcze coś powiedzieć, ale szloch zatrzymał jej słowa w gardle.

- Usiądźcie – powiedziała Tania do mężczyzn i sama zajęła miejsce obok Nadii. – Musimy porozmawiać. Ty też Michel.

Potem gospodyni opowiedziała scenę, która miała miejsce przed ich domem, jednak nic nie wspominając o świątyni i kapłanach. Miron uśmiechnął się do Nadii i objął Michela, by podkreślić, że dzieci zachowały się jak trzeba.

- No, dzieciaki, głowa do góry – powiedział wesoło gospodarz. – Mało to razy zdarzyło wam się klócić z Lucasem?

- Ale on obraził Rafaela! – powiedział Michel, który był wciąż w bojowym nastroju.

- Zgadzam się z tobą całkowicie, że to nie w porządku czepiać się czyjegoś wyglądu – odpowiedział mu ojciec. – Ale czasem ludzie zanim pomyślą, mówią podobne głupoty, zwłaszcza gdy kogoś nie znają. Zaprosicie ich następnym razem do domu, niech zobaczą jak wyglądają wasze lekcje.

- Jeszcze czego... - wyburczał Michel ze spuszczoną głową.

- Ale oni powiedzieli jeszcze, że Rafael bił się z żołnierzami w gospodzie – zachlipała Nadia.

- To nieprawda – odpowiedział Miron córce. – Chociaż faktycznie tego dnia, gdy Rafael przyszedł do Mupoksu i wszedł do gospody, zaczęli go dwaj żołnierze – na słowa ojca Michel zrobił wielkie oczy. – Ale wyszedł z nimi na zewnątrz i cała sprawa rozeszła się po kościach – stwierdził Miron.

- A czego od ciebie chcieli? – zapytał zaciekawiony chłopiec.

- Zainteresowała ich pewna rzecz, którą miałem przy sobie.

- A jaka? – dopytywała się Nadia.

- Miecz, który miałem przypięty do pasa – Rafael wiedział, że skoro dzieci dowiedziały się od innych o wydarzeniach w gospodzie, prędzej czy później usłyszą także o mieczu, będącym przyczyną całego zamieszania.

- Taki prawdziwy? – zapytał Michel, patrząc na nauczyciela, jakby ujrzał go po raz pierwszy w życiu. – A gdzie go masz?

- Oddałem właścicielowi – odpowiedział nauczyciel. – Nie należał do mnie.

- Szkoda – rzekł zawiedziony chłopiec. – Chciałbym zobaczyć jak wyglądał.

- A Edna jeszcze powiedziała... - zaczęła mówić Nadia, ale Tania weszła jej w słowo:

- Już wystarczy! Sami widzicie, że nie ma się czym przejmować. – powiedziała gospodyni. – A teraz bierzmy się do pracy, bo na pewno wszyscy są głodni.

- Taaak! – odpowiedziały chórem dzieci, którym myśl o jedzeniu wyraźnie poprawiła humor.

Już po chwili kolacja była na stole i wszyscy zaczęli jeść w milczeniu. Miron, widząc skwaszone miny dzieci, starał się je jeszcze zagadywać i opowiadać co słychać w mieście i jacy kupcy pojawili się ostatnio na targowisku. Potem Tania próbowała zagonić je do spania, ale zaczęły się buntować i prosić o jeszcze trochę czasu na zabawę. Gospodyni musiała je przekupić nową bajką na dobranoc. Gdy już zasnęły, zamknęła drzwi do pokoju i wróciła do kuchni, gdzie przy stole wciąż siedzieli Miron i Rafael.

- Muszę wam jeszcze coś powiedzieć, ale wolalam nie zaczynać tego tematu przy dzieciach – powiedziała poważnie, gdy tylko usiadła do stołu. – Kiedy dzieci zaczęły się kłócić o Rafaela, zauważyłam, że najwięcej mieli do powiedzenia Lucas i Edna...

- Dzieciaki sąsiadów? W sumie nic dziwnego... Ich rodzice zawsze byli zazdrośni o nasze gospodarstwo.

- Nie o to chodzi – powiedziała Tania. – Ta mała Edna powiedziała, że Rafaelem powinni zainteresować się kapłani, bo nie chodzi do świątyni, a Lucas dodał, że przez niego będziemy mieli kłopoty.

- Przecież to bzdury – zachnął się Miron. – Kapłani zajmują się swoimi sprawami i nie wtrącają się w życie innych.

- Oczywiście masz rację – stwierdziła Tania, która cały wieczór myślała o rozmowie dzieci. – Ale pod warunkiem, że ci „inni” trzymają się zasad. A podstawowa brzmi: uczestniczysz w każdym święcie ku czci cesarza, a potem możesz robić, co chcesz.

Miron dopiero teraz uświadomił sobie, że Rafael od kiedy u ich mieszkał, faktycznie ani razu nie był w świątyni.

- Jakoś trudno mi uwierzyć, żeby to był problem – powiedział do żony, jednak już bez wcześniejszego przekonania.

Gospodyni zastanawiała się, na ile powinna podzielić się z nimi swoimi myślami. „Być może jestem faktycznie zbyt przewrażliwiona – myślała. – Nie można widzieć wszystkiego od razu w najciemniejszych barwach...”

- A ty co o tym sądzisz, Tania? – zapytał Rafael, który wydawał się jeszcze blejszy niż zwykle.

- Sama nie wiem... Od początku wiedzieliśmy, że niektórym nie podoba się to, że cię gościmy. Większość myślała, że zmusiła nas do tego sytuacja, bo brakowało nam rąk do pracy, ale mieszkam tu już dość długo i wiem, że tutejsi ludzie boją się obcych. Wędrowni kupcy czy żołnierze przychodzą i odchodzą i są trochę jak element krajobrazu. Co innego, gdy ktoś decyduje się zostać tu na dłużej. Wtedy miejscowi uważają, że powinien się dostosować. A ty, przyjacielu, chociaż wyglądasz dużo lepiej, niż w dniu naszego pierwszego spotkania, wciąż wyróżniasz się z tłumu. Gdyby chodziło o twój wygląd albo o ten incydent w gospodzie, byłbyś tylko tematem plotek. Ale gdy unikasz świątyni, stajesz się przedmiotem niepokoju. I to ludzi drażni.

- Widzę, że znasz bardzo dobrze tutejszą mentalność – w głosie Rafaela brzmiało uznanie... i smutek.

- To tylko kwestia obserwacji – rzekła Tania. – Nie trzeba wielkiej psycho... - i urwała w półdania.

- Czego nie trzeba? – zapytał Miron.

- Chciałam powiedzieć, że wystarczy znać się na ludziach – gospodyni wolala nie patrzeć na męża.

- Ale jakoś dalej nie jestem przekonany, że to może być powód do zmartwień.

- A zastanawiałeś się kiedyś, po co chodzisz do świątyni? – zapytała.

- Bo trzeba, bo wszyscy chodzą, bo to obowiązek, bo prawo wymaga... – wyrecytował Miron.

- A znasz kogoś, kto tam nie chodzi na święta?

- Nie... Rafael jest pierwszy.

- No właśnie... - stwierdziła Tania. – Dlatego nie wiemy jak zachowają się kapłani, którzy wiedzą, że mają prawo po swojej stronie. Wiadomo, że tu nie chodzi o żadną religijność, tylko o porządek publiczny.

- Chyba jednak przesadzasz – stwierdził Miron, którego coraz bardziej niepokoiły słowa żony.

- Przecież te komentarze, które powtórzyły dzieci, nie wzięły się znikąd. Bo tu nie chodzi o odpowiedź na pytanie czy ludzie faktycznie tak myślą, tylko co zrobią z sytuacją wymykającą się im spod kontroli. Przecież kapłani nie mogą na oczach wszystkich udawać, że nie widzą, że ktoś ich ignoruje.

- Rozwiązanie jest w takim razie bardzo proste – stwierdził Miron z pewnością w głosie. – Na następne święto Rafael pójdzie z nami i mamy problem z głowy!

- Obawiam się, że to jednak nie będzie takie proste – powiedział niemal szeptem wędrowiec.

- Przecież to już niedługo! – Miron odzyskał swobodny ton. – Myślę, że do tego czasu możemy być spokojni, miejscowymi nie ma się co przejmować.

- Nie o to chodzi, Mironie... Ja nie mogę iść z wami do świątyni.

W tym momencie gospodarz spojrzal na swojego gościa jak na wariata.

- Jestem wam bardzo wdzięczny za waszą gościnę. Nie spodziewałem się, że jeszcze znajdę miejsce, gdzie odzyskam spokój, którego nie zaznałem przez lata. Jesteście

naprawdę szlachetnymi ludźmi. – powiedział Rafael. – Wystarczyło wam wiedzieć kim jestem i jak pracuję, a nie jaką mam przeszłość, by przyjąć mnie do waszego domu i jeszcze powierzyć mi nauczanie waszych dzieci – Tania już domyślała się, co za chwilę usłyszy. – Niestety to, co wam się wydaje dobrym rozwiązaniem, przekracza moje możliwości. Przykro mi, ale naprawdę nie mogę wam powiedzieć nic więcej. Taka wiedza przyniosłaby znacznie więcej szkody niż pożytku. Mogę was zapewnić, że nie jestem przestępcą, ale zgadzam się z każdym słowem, które powiedziała Tania: ta sytuacja prędzej czy później przyniesie poważne problemy.

- Co ty opowiadasz? Przecież to jakieś brednie!

- Niestety to prawda. – Rafael spojrział przyjacielowi w oczy. – Twoja żona postawiła doskonałą diagnozę. Ludzie będą się coraz bardziej niepokoić, a kapłani nie będą mogli zostawić tej sprawy bez odpowiedniej reakcji.

- Rafael, sam widziałeś, co się działo w gospodzie. Nikt z miejscowych nie zareagował. Tutaj ludzie są obojętni. Co ich obchodzi cudze życie? – stwierdził Miron. – Wiem, że nie mam twojego wykształcenia, ale na mój chłopski rozum nie mogę pojąć, o co ci chodzi. Dlaczego robisz problem z niczego? Przecież to tylko pójście do świątyni i wrzucenie kadzidła na rozpalone węgle. Wchodzisz i wychodzisz, a co sobie tam myślisz to twoja sprawa, przecież nic się nie zmienia...

- Mylisz się – stwierdził Rafael. – To gest, który zmienia wszystko...

- Jakie znaczenie ma to, co robimy w naszej osadzie? Przecież cesarz mieszka na drugim końcu świata i nie ma pojęcia o naszym istnieniu! – gospodarz podniósł głos, ale zaraz się uspokoił, przypominając sobie o dzieciach śpiących w pokoju obok.

- Nie ma znaczenia gdzie znajduje się cesarz, lecz istotne jest to, że traktuje się go jak boga.

- A co w tym złego?

- To, że jedyne i ostateczne prawo pochodzi od człowieka.

- Przecież nikomu nie dzieje się żadna krzywda...

- W tej chwili tak ci się wydaje, ale wyobraź sobie, że prawo całkowicie się zmienia. Nagle bez żadnego uprzedzenia cesarz wydaje dekret i każe przysłać sobie wszystkie dzieci do dwunastego roku życia. Ma do tego prawo. I co możesz zrobić?

- Nie wiem – odpowiedział niepewnie Miron.

- Każdy twój argument odbiłby się od zdań typu: „cesarz ma prawo”, „cesarzowi należy się posłuszeństwo”, „cesarz wie lepiej”.

- Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób – zasępił się gospodarz.

- Dlatego, że żyjesz daleko od stolicy i nie widziałeś na co może pozwolić sobie Cesarstwo. Mupoks wygląda na mapie jak ziarnko piasku na rozległej plaży, w dodatku zawsze posłuszne i zdyscyplinowane. Ale ta sytuacja może się szybko zmienić, gdy ktoś zorientuje się, że ten „święty” porządek jest w jakiś sposób zagrożony.

- Co w takim razie zamierzasz zrobić? – zapytała Tania.

- Od początku mówiłem, że chciałbym u was zostać do końca zimy. Przed najbliższym świętem będę musiał opuścić wasz dom, tak żeby nie zwrócić niczyjej uwagi i by nie stać się przyczyną jakiś innych kłopotów.

- Święto wypada pierwszego dnia wiosny – przypomniał Miron. – To za dwa tygodnie... Może sytuacja jeszcze się zmieni?

- Nie można ryzykować... I tak jestem już zbyt długo – dodał bardzo cicho Rafael, jakby do siebie. – Wystarczy, żebym mógł przygotować się do drogi.

- A nie wydaje ci się, że jeśli odejdziesz przed samym świętem, to będzie to jeszcze bardziej podejrzane? – zastanowiła się Tania.

- Oczywiście, że tak myślę – powiedział nauczyciel. – Dlatego wyruszę za kilka dni, trzy, góra cztery, jak tylko zbiorę potrzebne rzeczy.

- A nie masz wrażenia, że to ucieczka od problemu? – gospodarz spojrzał uważnie na przyjaciela. – Jak to możliwe, że głupia rozmowa na podwórku przewraca nasze życie do góry nogami? Przecież tak nie może być!

- To jest moje życie i moja decyzja, Mironie. Skoro nie mogę żyć tak jak wy, nie mogę też narażać was na przykrości albo kłopoty z mego powodu.

- To może na razie zrobmy przerwę i skończmy ten temat. – zaproponował Miron. – Przed nami noc, będzie czas pomyśleć, bo mam nadzieję, że jeszcze zmienisz zdanie. A teraz chodźmy spać. Nowy dzień przynosi zazwyczaj lepsze pomysły.

Cała trójka wstała od stołu i nikt się już nie odzywał. Są takie rozmowy, po których trzeba pozbierać na nowo myśli i decyzje, mające wpływ na całe życie. Rafael usłyszał jeszcze za plecami ściszony głos Mirona, mówiącego do żony:

- Gdybym go nie znał, powiedziałbym, że czegoś się boi!

Rafael uśmiechnął się pod nosem, ale był to bardzo smutny uśmiech.

- Gdybyś tylko mógł znać prawdę, Mironie... – pomyślał nauczyciel, wracając do wspomnień, które przygniotły mu serce straszliwym ciężarem odpowiedzialności.

VI ROZDZIAŁ – ZASKOCZENIE

Dorośli zdecydowali, że nie powiedzą od razu Michelowi i Nadii o decyzji Rafaela. Dzieci uwielbiały swojego nauczyciela, więc rodzice woleli odsunąć w czasie moment, gdy dowiedzą się, że postanowił ich opuścić. Sam gospodarz chodził jak struty i nie mogąc pogodzić się z tą nową myślą, próbował jeszcze zmienić zdanie przyjaciela, ponieważ wędrowiec, którego przyjął pod dach, stał się dla niego niespodziewanie kimś bliskim. Miron na początku tłumaczył sobie, że Rafael przypomina mu brata, którego stracił, ale nie była to prawda... Ten niezwykle przybysz stał się pokrewną duszą z zupełnie innego powodu – okazał się po prostu dobrym człowiekiem. Uczciwie pracował, szczerze rozmawiał, z uwagą słuchał i mądrze odpowiadał. To prawda, że unikał mówienia o swojej przeszłości, ale Miron uznał, że widocznie ma jakieś powody. Zresztą wciąż miał w pamięci, że gdy się spotkali z Rafaelem po raz pierwszy, przyjaciel wyglądał jak siedem nieszczęść, więc być może jego historia była jeszcze smutniejsza niż jego własna.

Dni mijały szybko, wypełnione codziennymi obowiązkami. Michel i Nadia, nieświadomi obaw rodziców, wrócili do zabaw ze swoimi rówieśnikami, jednak nie rozmawiali już na temat Rafaela. Widać było, że Lucas i Edna, też nie chcieli zaczynać tego tematu.

Rafael natomiast dyskretnie przygotowywał się do podróży, udając się w pierwszej kolejności na targowisko, by przyjrzeć się towarom, które oferowali kupcy, zaopatrując się u różnych sprzedawców w potrzebne rzeczy, tak by nie zwrócić na siebie uwagi. Miał świadomość, że jest zbyt przewrażliwiony, ale wolał dmuchać na zimne, bo chociaż przyzwyczał się już do ciekawskich spojrzeń mieszkańców Mupoksu, wiedział, że ludzka natura jest przewrotna i nie zmienia jej nawet pojedyncze spojrzenia, wyrażające życzliwość czy sympatię.

Mimo iż był przekonany, że to co robi jest słuszne, trudno było mu planować nową podróż. W ciągu tych miesięcy często łapał się na tym, że niechętnie myślał o przyszłości, starając się wykorzystać każdy kolejny dzień i szukając ukojenia po latach, które rozrywały serce na strzępy. Nie żałował czasu „straconego” w Mupoksie, chociaż wiedział, że nie pozna już zakończenia historii Mirona ani nie porozmawia z jego żoną.

Po dwóch dniach był w zasadzie gotowy do drogi: zakupił nowe ubrania, skromne i ciepłe, by nie rzucał się w oczy i przetrwał wiosenne chłody, torbę podróżną z długim paskiem do wygodnego przewieszenia jej przez ramię oraz niewielki, ale bardzo solidny nóż, na który wydał większość zarobionych pieniędzy. Miron stwierdził co prawda, że to głupota wydawać tyle florenów na jakiś nożyk, ale Rafael wiedział, że gdy przyjdzie co do czego, to nóż może uratować mu życie. Był też pewien, że przynajmniej na początku nie zabraknie mu jedzenia, bo Tania wciąż wyjmowała ze spiżarki nowe rzeczy, przygotowując tobolek na podróż. Rafael poważnie się zastanawiał, czy jego kręgosłup wytrzyma dobre intencje gospodyni.

Dorośli jak tylko mogli odwlekali moment rozmowy z dziećmi, aż trzeciego dnia, gdy uczyli się geometrii, Michel zapytał Rafaela:

- Naprawdę od nas odchodzisz?

- Tak – odpowiedział nauczyciel po chwili milczenia. – Nie mogę dłużej z wami zostać.

- Naprawdę? – zapytała zdziwiona Nadia. – Ale dlaczego?

- Przez to, co wtedy wygadywali Lucas i Edna? – zapytał ze złością Michel.

- Pośrednio – nauczyciel pokiwał głową. – Nie przez to, co powiedzieli, lecz przez to, co powtórzyli.

- Przecież nam mówiliś, że nikt nie powinien przejmować się opinią innych, zwłaszcza, jeśli mija się z prawdą – Michel powtórzył słowo w słowo to, co Rafael powiedział im na jednej z lekcji.

- Jeśli chcesz to, teraz my możemy zacząć opowiadać innym o tobie – stwierdziła Nadia z entuzjazmem w głosie. – Wtedy na pewno zmienią zdanie!

- Jesteście naprawdę wspaniali – Rafael był pod wrażeniem swoich uczniów. – Niestety tu nie chodzi tylko o czyjeś gadanie.

- Tylko o to, że unikasz świątyni?

- Tak myślałem, że się domyślicie... – uśmiechnął się nauczyciel. – Rzecz nie w tym, że unikam, ale że przez to nie przestrzegam cesarskiego prawa. A to już może spowodować kłopoty.

- Przecież nikt nie może ci nic zrobić! – powiedziała z przekonaniem dziewczynka.

- Trudno mi to wytłumaczyć, młoda damo, tym bardziej, że wciąż jesteście tacy młodzi... – zaczął Rafael.

- I za głupi, żeby zrozumieć? – zapytał z żalem chłopiec.

- Nie... akurat na to jesteście zbyt inteligentni – stwierdził poważnie Rafael, sprawiając dzieciom radość. – Mogę wam powiedzieć tak: nie da się cofnąć czasu ani zmienić przeszłości. Trzeba płacić za błędy i szukać swojej drogi...

- A tak bez owijania w bawełnę? – Michel sam się trochę zdziwił swoją bezpośredniością.

- Mój stosunek do Cesarstwa jest... szczególny. Popelniłem w życiu wiele błędów i teraz ponoszę tego konsekwencje – powiedział Rafael. – Łudziłem się, że w Mupoksie będę mógł żyć normalnie, ale ten czas się skończył...

- W takim razie pójdziemy z tobą – powiedział chłopiec, a Nadia energicznie pokiwała głową.

Rafael spoważniał i spojrzał dzieciom prosto w oczy.

- Jestem pewien, że kiedyś opuścicie osadę i zobaczycie w życiu bardzo wiele rzeczy – stwierdził. – Ale to jeszcze nie jest ten moment. Głowa do góry! Przecież to wasi rodzice dali zgodę na waszą naukę, więc teraz na pewno nie zamkną was w klatce, ale będą chcieli, żebyście poznali trochę świata. Może nawet pošlą was do jakiejś szkoły.

- Jakoś nie jestem do końca przekonany – mruknął pod nosem wyraźnie niezadowolony Michel, rozglądając się po izbie. – Tym bardziej, że rodzice siedzą tylko w domu i nigdy się stąd nie ruszają.

- Nie oceniaj ich zbyt pochopnie. Każdy z nas ma swoją historię, którą trzeba uszanować...

Następnie nauczyciel, żeby zmienić temat, pokazał dzieciom swój pergamin, którego używał w czasie ich lekcji, a Michel i Nadia aż wstrzymali oddech z wrażenia – był zapisany od góry do dołu idealnie równym pismem i zawierał materiały do kolejnych lekcji, aby dzieci mogły kontynuować naukę po jego odejściu. Michel pomyślał, że przygotowanie takiej ilości materiału musiało zająć nauczycielowi przynajmniej dwa tygodnie (tak naprawdę zajęło mu dwie noce). Na pergaminie nie było ani skrawka niewykorzystanego miejsca. Dzieci z radością rzuciły się nauczycielowi na szyję i nie chciały go puścić. Dopiero Tania, która po chwili wróciła z miasta, odkleiła je od szyi Rafaela.

Gdy przyszedł Miron i dowiedział się, że nauczyciel jest już po rozmowie z dziećmi, odetchnął z ulgą i poczuł jak kamień spada mu z serca. Do tej pory odwlekał jak mógł moment wiążący się z tłumaczeniem dzieciom sytuacji, która także dla niego była trudna.

Domownicy postanowili, że jutro urządzią uroczyste śniadanie pożegnalne, tak by Rafael mógł wyruszyć w drogę, nie tracąc kolejnego dnia. Wszystkim było ciężko, ale czuli, że lepiej nie przedłużać tego momentu.

Tego wieczora, gdy udali się na spoczynek, każdy z domowników myślał o swoich sprawach. Tania planowała co przygotować na stół, Miron zastanawiał się, czego jeszcze Rafael może potrzebować na drogę, Michel rozmyślał o wielkiej podróży, w jaką chciałby wyruszyć, gdy będzie starszy, a Nadia o szkole, do której za jakiś czas może wyślą ją rodzice.

Żadne z nich nie podejrzewało, że następny dzień zmieni już na zawsze życie ich rodziny.

Gdy Rafael udał się na swoje posłanie, nie mógł odgonić niepokoju, który od kilku dni zagnieździł się w jego sercu i teraz nie pozwalał zasnąć. Wciąż krążył myślami wokół dzieci gospodarzy - były one dla niego wielkim i niespodziewanym odkryciem. Miał wielką nadzieję, że Miron i Tania będą kontynuować ich edukację, zwłaszcza teraz, gdy Michel i Nadia mieli już za sobą pierwsze szlify. Bezsensowność zmuszała wędrowca do ciągłego przypominania sobie planu podróży, mającej go zaprowadzić na wschód, a stamtąd jeszcze dalej - na południe. Miron, z którym rozmawiał na temat swoich planów, dał mu wiele cennych wskazówek, dotyczących dróg w najbliższej okolicy, miejsc postoju i możliwych trudności.

Nagle zobaczył długi korytarz oświetlony roztańczonym światłem świec, umieszczonych w rzędzie miedzianych kandelabrow wiszących na ścianach na przemian z obrazami, przedstawiającymi początki Cesarstwa. To miejsce wydawało mu się dziwnie znajome, tylko bardziej czerwone, niż je zapamiętał, jakby ktoś skąpał je w szkarłatnej farbie. Nie miał czasu się nad tym zastanawiać, ponieważ w oddali dało się słyszeć głosy pełne niepokoju, gniewu i strachu, a zaraz po nich uderzenia kling mieczy, chrzęst zbroi i

stukot ciężkich butów. Rafael zatoczył się na bok i oparł o ścianę, bo wydawało mu się, że już kiedyś to przeżył i odruchowo sięgnął do pasa, ale ku swemu zdziwieniu nie znalazł broni, lecz tylko sznurek, którym miał przewiązane swoje chłopskie spodnie.

- Kogoś szukają! – usłyszał własne myśli, bezlitośnie świdrujące mu głowę i poczuł ścisk gardła, uniemożliwiający wydanie z siebie jakiegokolwiek dźwięku. Rozglądał się w panice za drogą ucieczki albo przynajmniej miejscem, gdzie mógłby się schować, ale uświadomił sobie, że nie może ruszyć się z miejsca, ponieważ jego stopy ugrzęzły w kamiennej podłodze, jakby ktoś ją tam rozpuścił. Gdy wrogie głosy stawały się coraz głośniejsze, a z za rogu wysuwały się już cienie zbliżających się osób, serce podskoczyło Rafaelowi do gardła i w tym momencie spostrzegł, że opiera się ręką o drzwi, których nie zauważył wcześniej. „A może ich tam po prostu nie było” – pomyślał, wykorzystując całą siłę woli do złapania klamki, która z niewiadomych przyczyn znajdowała się wysoko, prawie pod sufitem. „Byle jak najszybciej znaleźć się w środku, byle dalej od tego korytarza...” Wpadł do jakiejś komnaty, a w niej panowała całkowita ciemność i obsłizgły zapach wilgoci. Słyszał za plecami przebiegające głosy kilkunastu osób, pokrzykujących do siebie po wojskowemu. Spróbował uspokoić oddech, który ciągle był urywany i za nic nie chciał sięgnąć głębiej, by dostarczyć do płuc życiodajnego powietrza. Przyłożył ucho do drzwi i nasłuchiwał – po chwili głosy zaczęły się oddalać i niknąć na drugiej stronie korytarza. Stał dłuższy czas w miejscu, aż wzrok przyzwyczaił się do ciemności i w pomieszczeniu można było coś zobaczyć. Odwrócił się zwinnie, by rozejrzeć się w środku i zaraz poczuł jak cierpie mu skóra i gardło zasycha na proch, przyklejając język do podniebienia. Próbował odwrócić wzrok, ale nie potrafił uciec przed zimnym spojrzeniem dwójki dzieci, stojących przed nim i trzymających się za ręce.

- Naprawdę myślałeś, że oni mogą nas zastąpić? – zapytała dziewczynka głosem, w który Rafael wsłuchiwał się przez lata. Miała na sobie długą szatę z kapturem szczelnie otulającym smukłą twarz, w nosie połyskiwał kolczyk, a usta układały się w uśmiech mieszający ironię z ciekawością.

- On ciągle żyje w świecie swoich ideałów... - wyjaśnił chłopiec, zwracając się do swej towarzyszki. Ubrany był identycznie jak dziewczynka, ale cała jego postać pozostawała w cieniu, tak że nie dało się dostrzec rysów twarzy, a jedynie błysk niebieskich oczu.

- Zostaw ich, Rafael! Dość już wyrządziłeś zła! Z tobą nie może ich spotkać nic dobrego...

Rafael nie zdążył nic odpowiedzieć, ponieważ dziewczynka wybuchnęła nagle głośnym, rozpaczliwym płaczem, wtulając się w ramiona chłopca, który objął ją czule i coś szeptał do ucha. Nauczyciel wytrzymał skierowany ku sobie, płonący czystą nienawiścią, wzrok chłopca i zauważył, że dłoń tuląca blond włosy dziewczynki jest zakrwawiona.

Obudził się i zerwał z posłania, odruchowo szukając dzieci, ale zaraz się opamiętał, przypominając sobie gdzie jest i co tu robi. Do świtu zostało jeszcze kilka godzin, ale poczuł, że potrzebuje świeżego powietrza, więc wyszedł na zewnątrz, starając

się nie budzić domowników. „To był tylko sen...” – pomyślał i poczuł przenikliwe zimno, które uświadomiło mu, że jest cały spocony. „Za długo tu jestem! Cholera, co ja sobie myślałem?!”

Gdy tylko wzeszło słońce, wszyscy zeszli się w kuchni. Widać było, że nie tylko Rafael spał kiepsko tej nocy. Dzieci usiadły obok swojego nauczyciela i chociaż ziewały jedno przez drugie, nie dały się ponownie zagonić do łóżek. Miron przecierał oczy i widać było, że choć wstał z posłania, jeszcze się nie obudził. W najlepszej formie była Tania - próbowała zająć myśli krzątaniem się po kuchni i przygotowaniem śniadania, którego sam zapach stawał wszystkich na nogi.

Tego ranka nikt nie miał zamiaru się spieszyć, więc długo siedzieli przy stole i rozmawiali o ostatnich miesiącach, o wieczorze, kiedy Miron przyprowadził Rafaela do domu, o pracy w polu i lekcjach dzieci.

- Wydaje się, że byłeś z nami kilka lat, a nie miesięcy! – zaśmiał się Miron – Szkoda, że...

Gospodarz urwał myśl w pół zdania, ponieważ usłyszeli kroki i głośną rozmowę na podwórku, a zaraz potem bardzo mocne pukanie do drzwi. Wszyscy podskoczyli na swoich miejscach, a zdziwiony Miron wstał od stołu, żeby otworzyć gościom.

- Witaj, gospodarzu – powiedział nieznajomy żołnierz, stojący w towarzystwie dwóch innych.

- Witajcie – odpowiedział Miron, który nie był w stanie ukryć zdziwienia. – Czym mogę wam służyć?

– Mamy przekazać wiadomość, że wczoraj do Mupoksu przybył nasz oddział – rzekł wojskowym tonem drugi z żołnierzy. – Jutro wyruszamy do strażnicy na południowym zachodzie. Ponieważ po drodze nie ma żadnej świątyni, nasz dowódca ustalił z kapłanami, że wiosenne święto będzie zorganizowane dzisiaj.

- Jak to dzisiaj?! – Miron o mało się nie zakrztusił.

- Dzisiaj, to znaczy w samo południe – odpowiedział trzeci. – Kapłani mają świadomość, że mieszkańcy mogą nie być przygotowani, dlatego czas na złożenie ofiary jest wydłużony do dnia, w którym normalnie wypada święto.

- Nie wiedziałem, że można tak zmieniać daty – powiedział niepewnie Miron.

- Normalnie nie można – odpowiedział znowu ten pierwszy. – Ale nasz dowódca, mimo iż bardzo młody, jest zasłużony dla cesarstwa i ma pewne względy.

- Poza tym jako oficer nie może sobie pozwolić, by dać zły przykład cesarskim żołnierzom – odezwał się znowu trzeci.

- W takim razie dziękuję za informację – odpowiedział grzecznie Miron. – Na pewno przyjdziemy.

- To się rozumie – powiedział drugi i odwrócił się na pięcie.

Następnie wszyscy trzej udali w stronę młyna, więc Miron domyślił się, że mieli rozkaz zawiadomić pozostałych gospodarzy, mieszkających po tej stronie osady. Natychmiast wszedł z powrotem w domu i zamknął za sobą drzwi. Był blady jak ściana.

- Dzieci, idźcie do siebie – powiedział stanowczym głosem do Michela i Nadii, którzy zrozumieli, że to nie czas na dyskusje i posłusznie udali się do pokoju.

- Co teraz robimy? – zapytała Tania, spoglądając to na męża, to na ich przyjaciela.

- Nie wiem – powiedział Miron. – Rafael i co teraz?

- Zastanawiam się... – odpowiedział cicho nauczyciel. – Na pewno nie mogę iść z wami na święto. Może uda mi się odejść, gdy wszyscy będą w mieście? Umiem poruszać się tak, żeby nikt mnie nie dostrzegł.

- A żołnierze nie widzieli cię teraz? – zapytała Tania.

- Nawet jeśli mnie dostrzegli, to wątpię, żeby zapamiętali – odpowiedział Rafael. – Widzieliście, że nie robili żadnej listy ani nie pytali o liczbę domowników.

- Z pewnością nie tylko my jesteśmy zaskoczeni – stwierdził Miron, myśląc o innych gospodarzach i ludziach w osadzie. – Na pewno będzie wielkie zamieszanie... Może faktycznie nikt nie zwróci uwagi, że cię z nami nie ma.

- Myślę, że to jest właśnie moja szansa – powiedział Rafael. – Taniu, czy mogę liczyć na obiecany prowiant na drogę?

- Oczywiście, zaraz wszystko przygotuję – odpowiedziała gospodyni. – Tylko zastanawiam się, czy nie narażamy się niepotrzebnie na kłopoty. Wcześniej była tylko kwestia kapłanów, teraz trzeba jeszcze ominąć żołnierzy. Czy nie byłoby lepiej, żebyś poszedł z nami, ale w tym zamieszaniu jakoś ominął to składanie czci cesarzowi?

- To za duże ryzyko – stwierdził Rafael. – Nawet jeśli ludzie będą zdezorientowani, to obecność wojska wprowadzi porządek i nikt nie będzie mógł się ukryć.

- W takim razie szykuj się do drogi, bo nie zostało wiele czasu – powiedział Miron, szanując decyzję przyjaciela.

Jedzenie, które przygotowała Tania, ledwo zmieściło się do torby, ale Rafael wiedział, że powinien mieć zapasy, bo może być zmuszony omijać główne drogi. Miron dyskretnie wsunął mu do sakiewki jeszcze kilka dodatkowych florenów. Wędrowiec próbował się sprzeciwić, ale gospodarz nie przyjmował żadnych argumentów. Dzieci rzuciły się na niego i ścisnęły tak mocno, że miał kolejny raz problem ze złapaniem oddechu. Pomyślał, że może to i lepiej, że musiał odejść tak szybko, bo gdyby pożegnanie trwało trochę dłużej...

Postanowili, że z domu najpierw wyjdą gospodarze z dziećmi, a dopiero po jakimś czasie Rafael. Liczyli, że gdy wszyscy będą już w mieście, nikt go nie zauważy ani nie będzie go szukał. Co prawda o tej porze roku pola uprawne, zwłaszcza te od strony zachodniej, nie pozwalały za bardzo się ukryć, ale osada była otoczona wysoką palisadą, więc nikt nie powinien spostrzec, że ktoś przemyka się nieopodal. Uściskali go jeszcze przed samym wyjściem i poszli w kierunku miasta.

Rafael chociaż nie chciał wyglądać przez okno, nie mógł się powstrzymać, żeby jeszcze nie odprowadzić ich wzrokiem. Widział, że gospodarze spotkali po drodze swoich

sąsiadów, rodziców Lucasa i Edny, którzy szli z razem dziećmi. Rozmawiali o czymś bardzo żywiłowo. Pomyślał, że prawdopodobnie o święcie, które dla wszystkich było zaskoczeniem. Zdziwił się, gdy ojciec Lucasa zaczął pokazywać palcem chatę Mirona. Rafaelowi nie podobał się wyraźnie złośliwy wyraz twarzy tego człowieka. Zobaczył niepokój na twarzach Mirona i Tani, choć był pewien, że nie zauważyli go ich sąsiedzi. On jednak znał ich już lepiej. Bardzo żałował, że nie mógł usłyszeć rozmowy, jednak nic już nie mógł zrobić. Był przygotowany do drogi i teraz musiał czekać.

Po chwili, ku swojemu zaskoczeniu, zobaczył dwóch żołnierzy, którzy wyszli z osady i szli w jego stronę. Najpierw myślał, że może będą pełnić straż przy bramie, ale zauważył, że wyraźnie idą w stronę chaty Mirona, więc to nie mógł być przypadek. Błyskawicznie wyszedł z domu i schował się za stodołę, korzystając z jednej z licznych kryjówek, które dzieci z powodzeniem wykorzystywały do zabawy w chowanego. Teraz mógł z ukrycia przyglądać się żołnierzom wchodzącym do domu bez pukania.

- Nikogo nie ma – powiedział jeden z nich, gdy wyszli na zewnątrz. – Musiał już uciec.

- Niedobrze, dowódca nie będzie zadowolony – stwierdził ten drugi, przeżuając kielbasę, którą zabrał ze stołu.

- Tamten chłop z młyna powiedział, że jak się pośpieszymy, to znajdziemy tu tego oprycha – zastanowił się pierwszy. – Może nie uciekł daleko i jeszcze go dopadniemy!

- Daj spokój! – powiedział jego kompan, przeżuując mięso. – Nawet jak się nie znajdzie, to i tak będziemy mieli ubaw! Przecież mamy tę rodzinę, u której mieszkał!

- Lepsze to niż nic – zarechotał tamten. – To idziemy, bo ominie nas najlepsze!

Rafaelowi serce podeszło do gardła, choć w najmniejszym stopniu nie martwił się o siebie, bo kilku żołnierzy na karku to przecież nie koniec świata. Był pewien, że teraz prawdziwe niebezpieczeństwo groziło Mironowi i jego rodzinie. Próbował analizować sytuację, która z każdej strony wydawała się beznadziejna: gospodarz nie mógł liczyć na żadne wsparcie. Dla sąsiadów od dłuższego czasu był tematem plotek i złośliwych komentarzy. Dla kapłanów cierniem w oku, ze względu na swojego gościa, lekceważącego cesarskie prawa. Wreszcie dla żołnierzy był tylko prostym chłopem, którego można ukarać bez żadnych skrępołów ani pobłażania. „Co robić?” – nauczyciel złapał się za głowę, a myśli pędziły w niej i zderzały się z prędkością błyskawic – „Jak mnie rozpoznają, całe lata pójdą na marne... Niech to szlag!”

Rafael wyszedł ze swojej kryjówki, wszedł do domu i zostawił na domowym stole podróżną torbę. Następnie wyszedł z powrotem, sprawdził zawartość kieszeni i zaczął biec w kierunku osady. W mgnieniu oka znalazł się przy bramie i zobaczył w oddali spory tłum zgromadzony na placu targowym, więc ruszył w tamtym kierunku szybkim krokiem. Teraz miał równy oddech, jego twarz przybrała kamienny wyraz, a spojrzenie było skupione. Pojedyncze osoby rozpoznały go i patrzyły na niego z mieszaniną strachu i obrzydzenia. Po chwili musiał już przeciskać się przez tłum, który był coraz gęstszy. Teraz z każdym krokiem słyszał coraz wyraźniej pojedyncze głosy dochodzące z placu:

- Jeśli nie wskażecie miejsca pobytu waszego znajomego, to sami poniesiecie karę! – powiedział ktoś bardzo zdenerwowanym głosem.

- Rafael opuścił nasz dom jakiś czas temu – odezwał się drżący głos Mirona. – Nie wiem, gdzie teraz jest.

- Ale wiesz, że złamaliście prawo? – zapytał ktoś inny, poważnym tonem. – Tu nie ma dyskusji.

- Przecież tata nic złego nie zrobił! – nauczyciel usłyszał zapłakany głos Nadii i odetchnął z ulgą, bo to oznaczało, że wszyscy żyją.

- Ooo, macie absolutną rację, dowódco! – powiedział ten sam zdenerwowany głos, który jak się okazało, należał do jednego z kapłanów – I kara powinna być surowa oraz stać się przykładem dla innych. – Rafael dostrzegł, jak wokół niego pobrzmiwają pomruki zadowolenia i akceptacji.

- Nie uczcie mnie moich obowiązków, kapłanie – stwierdził dowódca żołnierzy, wciąż młodzieńczym głosem. – Od najmłodszych lat służę Cesarstwu i wiem, co do mnie należy. – w tym momencie zwrócił się w stronę oskarżonego. – Mironie, synu Enelona, przyjąłeś pod swój dach przybysza, który łamał prawo i sprzeciwiał się cesarzowi. Czy masz coś na swoją obronę?

- Ja naprawdę nie wiem co powiedzieć... – wymamrotał gospodarz słabym głosem.

- Jeśli nie masz nic na swoją obronę, w takim razie karą za popełnione przestępstwo jest...

Nikt się nie dowiedział, jaka kara miała zostać wymierzona Mironowi, ponieważ w tłumie od strony ulicy morskiej, zrobiło się nagle spore zamieszanie: kobiety zaczęły piszczeć, a mężczyźni coś wykrzykiwać. Po chwili dowódca zobaczył, że z tłumu wychodzi mężczyzna, od którego wszyscy próbują się jak najdalej odsunąć, jednocześnie pokazując go palcami. Nieznajomy ubrany był jak zwykły wieśniak, a jedyne czym się wyróżniał, to niezwykle blada twarz i przymrużone oczy utkwione w ziemię.

- Wygląda na to, że to mnie dotyczy całe to zamieszanie – stwierdził Rafael, rozglądając się wokół i starając się nie patrzeć dowódcy prosto w oczy.

- Zgadza się – krzyknął kapłan. – Ciebie, bezbożniku!

- Jeśli tak, to proszę, żeby uwolnić tych ludzi, którzy zostali niesłusznie oskarżeni – powiedział nauczyciel, który teraz zauważył, że Miron i Tania mają związane ręce.

- Hola hola... i co jeszcze? Może mamy ich też przeprosić? – zawołał dowódca, a cały tłum zaśmiał się głośno.

Rafael stał spokojnie, czekając aż śmiech ucichnie.

- Dowódco, jesteście młodym człowiekiem, ale już macie stopień setnika, więc musieliście odbywać służbę w Ungardzie – powiedział takim tonem, jakby mówił o pogodzie. – Wicie na pewno, że cesarskie prawo nie dopuszcza odpowiedzialności zbiorowej, poza czasem wojny, rzecz jasna.

Tłum nagle ucichł. Większość mieszkańców Mupoksu nie słyszała nigdy nazwy Ungard, więc zdziwieni patrzyli na dowódcę, który wyglądał na bardzo zaskoczonego i

spoglądał na Rafaela z zainteresowaniem, mierząc go wzrokiem z góry na dół. Żołnierze czekali na rozkaz.

- Kim ty jesteś? – zapytał setnik.

- Mam na imię Rafael.

- Nie o to pytam – powiedział dowódca, przyglądając mu się uważnie. – Nie jesteś zwykłym wieśniakiem. Nikt tutaj nie zna się na stopniach wojskowych...

- To naprawdę nie ma znaczenia kim jestem – powiedział nauczyciel. – Uwolnisz tych ludzi?

- Oczywiście, że nie! Nie wiemy, czy nie są twoimi współpracownikami...

- Właśnie! – zawołał kapłan. – Ich też trzeba ukarać za przestępstwa przeciw świątyni i cesarzowi! – Rafael spojrział na niego z politowaniem.

- Dostaliśmy informację, że nie uczestniczyłeś w świątach ku czci cesarza, od kiedy zamieszkałeś w Mupoksie – powiedział dowódca. – Są świadkowie. Bardzo wielu świadków. – rozejrzał się wokół, patrząc na osoby w tłumie, które wciąż nie wiedziały co o tym myśleć – ani czego się spodziewać. – Będziesz osądzony i zostanie wydany wyrok. Wszystko uczciwie.

- Niech najpierw złoży ofiarę ku czci cesarza – powiedział kapłan, zbliżając się do dowódcy. – Przekonamy się, co to za jeden i czy nie jest szpiegiem...

Dowódca, któremu nie podobało się, że kapłan wchodzi mu w co drugie zdanie, teraz przyznał mu rację.

- To może faktycznie dobry pomysł. Słuchaj, ja jestem człowiekiem honoru – zwrócił się do Rafaela. – Dam ci szansę: możesz uwolnić się od części zarzutów, jeśli teraz złożysz ofiarę w świątyni.

Nauczyciel przez chwilę nie odpowiadał, tylko spojrział na Mirona, Tanię i dzieci, którzy stali przerażeni pomiędzy dwoma żołnierzami. Potem rozejrzał się wokół i miał wrażenie, że podekscytowany chwilę wcześniej tłum teraz spokorniał. Nikt nie spodziewał się takiego rozwoju wypadków. Wreszcie Rafael zwrócił się do setnika czekającego na jego odpowiedź.

- Jeśli naprawdę jesteś człowiekiem honoru, proponuję inne rozwiązanie – rzekł nauczyciel, bardzo powoli wypowiadając każde słowo. – Duellum.

Dowódca, gdy to usłyszał, zaczął się głośno śmiać, a jego głos przypominał skrzek wrony. Zarechotało też kilku żołnierzy, którzy patrzyli na Rafaela jak na wariata. Reszta nie wiedziała o co chodzi.

- Żartujesz prawda? – zapytał dowódca.

- Nie – odpowiedział spokojnie Rafael. – Niech pojedynek między nami rozstrzygnie, kto ma rację i po czyjej stronie jest prawo.

- Przecież nie masz najmniejszych szans!

- W takim razie nie masz się czego obawiać, prawda? – stwierdził przybysz.

Setnik zagryzł wargę, bo taka decyzja mogła mieć poważne konsekwencje. Czy walka bez żadnego ryzyka nie splami mojego honoru? – zastanawiał się w myślach. – Ale z drugiej strony warto dowiedzieć się, kim jest ten nieznajomy... Dowódca wiedział z

doświadczenia, że ludzie zazwyczaj stają się rozmowniejsi, gdy coś ich zabolí albo śmierć zajrzy im w oczy.

- Niech będzie, zgadzam się! – powiedział oficer. – Jeśli wygram, zostajesz uznany za przestępcę i ci tam – wskazał palcem Mirona i jego rodzinę - za twoich współpracowników!

- A jak ja wygram? – zapytał Rafael.

- To by graniczyło z prawdziwym cudem – zaśmiał się dowódca. Teraz, gdy podjął decyzję, zaczęło mu się to podobać. Nie spodziewał się, że w osadzie na odludziu spotkają go takie atrakcje. – Ale jeśli to ty zwyciężysz, zostaniesz uwolniony od zarzutów i twoi znajomi będą wolni.

- W takim razie możemy zaczynać – powiedział Rafael, wychodząc na środek placu.

VII ROZDZIAŁ – ATERNUBES

Wszystko, co wydarzyło się po wyjściu z domu, było dla Mirona niczym koszmar. Najpierw w drodze do miasta rozmowa z sąsiadami, którzy natrętnie wypytywali o Rafaela, wytykając im nieodpowiedzialność i zapowiadając kłopoty. Następnie zupełnie niespodziewane spotkanie z kapłanami, którzy krzyczeli wniebogłosy i grozili konsekwencjami, a potem chłodna i bezlitosna postawa dowódcy, rozkazującego ich zatrzymać, związać i doprowadzić na środek placu.

Gospodarz pamiętał jak przez mgłę zeznania świadków, którzy mówili o Rafaelu i jego pobycie w Mupoksie. Miron nie mógł uwierzyć, że można opowiadać takie brednie i gdy tylko nadarzyła się ku temu okazja, próbował coś powiedzieć, ale jeden z żołnierzy stojących obok niego natychmiast go uciszył. Tania, mimo strachu i zaskoczenia obrotem spraw, nie traciła zimnej krwi i zaraz po zeznaniach rzekomych „świadków” próbowała przekazać dowódcy chociaż kilka zdań o ich rodzinie. Jej słowa najpierw zaskoczyły żołnierzy, nieprzywykłych do słuchania kobiet, lecz po krótkiej chwili pozbyli się skrupułów i uciszyli ją równie skutecznie, co wcześniej jej męża.

Miron był coraz bardziej świadomy, że znikąd nie otrzymają pomocy i obawiał się już najgorszego, lecz właśnie w tej chwili zobaczył Rafaela, który spokojnie wszedł na plac, jakby przyszedł tylko coś kupić.

Gospodarz nie mógł uwierzyć, że jego przyjaciel się zjawił, ponieważ był pewien, że jest już daleko w drodze. Wtedy po raz pierwszy pojawiła się iskierka nadziei, tym bardziej, że Rafael jakimś cudem nie został aresztowany i teraz rozmawiał z dowódcą, niemal jak równy z równym. Mimo tego mupoksanin spostrzegł, że wiele osób patrzyło na przybysza z dziwną mieszkanką ciekawości i politowania, lecz trudno było im się dziwić, ponieważ przybysz stojąc naprzeciwko cesarskiego oficera wyglądał po prostu nędznie.

Setnik miał na sobie kunsztownie wykonaną zbroję, wyraźnie lepszą od tych, które nosili jego żołnierze: kirys wykuty ze stalowej blachy był pomalowany idealnie czarną farbą, na napierśniku znajdowały się symbole cesarstwa w kolorze złota, niezatarte i wyraźne – znak, że nie widziały zbyt wielu bitew - a naramienniki i rękawice wyglądały jak dopiero zdjęte z płatnerskiego stołu. Na nogach dowódca nosił skórzane spodnie, nagołennice oraz skórzane buty, okute blachą, a przy boku miał stalowy półtorareczny miecz z bogato zdobioną rękojeścią. Rafael natomiast miał na sobie prosty strój chłopa, czyli płócienne spodnie, lnianą koszulę, kamizelkę i barani kozuch. Trudno było o większy kontrast.

Do Mirona nie od razu dotarło, że Rafael wyzwiał oficera na pojedynek, ale gdy to sobie uświadomił, to ugięły się pod nim kolana, bo miał wrażenie, że nadchodzi nieuchronna klęska. Gospodarz wielokrotnie mógł się przekonać, że jego przyjaciel ma wiele talentów, ale w tej chwili uznał, że Rafael wpadł na najgłupszy z możliwych pomysłów, gdyż nie tylko nie ma żadnych szans na wygraną, ale jeszcze kładzie na szali życie jego samego i jego rodziny. Mimo tych wszystkich myśli, które kotłowały mu się w

głowie, Miron musiał przyznać z podziwem, że jego przyjaciel zachowuje naprawdę wielki spokój.

- Jeśli chcesz, możemy walczyć tylko do pierwszej krwi... Szkoda, żeby Cesarstwo straciło oficera, a żołnierze dowódcę – powiedział Rafael do setnika, wolno podciągając rękawy koszuli. Po chwili ciszy, która zaległa, wszyscy wybuchnęli śmiechem – najbardziej ubawiony był setnik.

- Czyli jednak strach cię obleciał? – zarechotał. – No, niech będzie. Ale wiesz, jak to jest w walce? Czasem pierwsza krew bywa ostatnią – Rafael skinął głową na znak, że zrozumiał.

- A czym będziesz walczył? – zapytał oficer, widząc jak przeciwnik ustawia się na środku placu.

- Nie potrzebuję żadnej broni...

- To powoli przestaje być śmieszne – zamruczał dowódca, zawiedziony, że nie będzie mógł użyć miecza - jedna z zasad duellum mówiła, że obaj adwersarze muszą mieć broń albo walczyć na pięści. – W takim razie stawaj do walki! – oficer zrobił dwa kroki naprzód, podchodząc do przeciwnika z zaciśniętymi i uniesionymi do walki dłońmi.

Rafael nie ruszył się z miejsca, trzymając opuszczone ręce, więc Miron przyglądając się stalowym rękawicom setnika był pewien, że za chwilę z jego przyjaciela zostanie krwawa miazga. Dowódca szybko zbliżył się do nauczyciela na odległość wyciągniętej ręki i wziął potężny zamach, mierząc prosto w twarz Rafaela, ten jednak zrobił błyskawiczny unik i setnik na chwilę stracił go z oczu. Oficer szybko odzyskał równowagę i uderzył po raz drugi, tym razem niżej, w korpus, jednak i tym razem wędrowiec był szybszy, z łatwością unikając ciosu. Wtedy setnik zasypał przeciwnika gradem ciosów, starając się używać na przemian silnych i szybkich uderzeń, których nauczył się w ungarzkiej szkole, jednak za nic nie mógł trafić nieznajomego, ubranego w baranie futro. Po chwili oficer czuł coraz większą złość. Stał chwilę, przecierając pot kapiący z czoła i zalewający oczy oraz starając się wyrównać oddech, który robił się coraz bardziej chrapliwy. Zorientował się, że żołnierze patrzą na niego z coraz większym niedowierzaniem, a z tłumu dochodzą już wyraźne pomruki – nawet ktoś, zapomniawszy się, gwizdnał z uznaniem.

Rozwścieczony setnik, zaskoczony szybkością przeciwnika i przerażony ryzykiem utraty ciężko zdobywanego przez ostatnie tygodnie autorytetu, wyszarpał miecz z pochwy, łamiąc przy tym wszelkie reguły i nie patrząc na żołnierzy. Rafael tylko na to czekał. Pierwsze uderzenie ostrza, tak jak się spodziewał, świsnęło mu tuż obok głowy, następne było wycelowane w biodro, a kolejne w ramię, lecz za każdym razem wędrowiec unikał spotkania ze stalą. Dowódca nie wiedział co się dzieje i miał coraz większą panikę w oczach, skutkiem czego coraz mniej panował nad nerwami, a o to właśnie chodziło Rafaelowi. Nauczyciel wiedział, że upokorzenie zmusi oficera do prostych błędów, nie spodziewał się jednak, że nastąpi to tak szybko. Po chwili setnik ciał z góry przez lewe ramię i Rafael zrobił unik, a następnie uderzył przeciwnika w nadgarstek, wytrącając mu broń tak zręcznie, że ta obróciła się w powietrzu i znalazła się w jego ręku. Wszyscy

wstrzymali oddech, ale wędrowiec uderzył tylko raz, a cięcie było tak szybkie, że w powietrzu błysnęła jedynie świetlista smuga. Potem nastąpiła cisza.

Dowódca patrzył nieprzytomnym wzrokiem na swojego przeciwnika, który stał naprzeciw niego z jego własnym mieczem w ręku. Wszyscy żołnierze jak jeden mąż mieli otwarte usta, ponieważ jeszcze nigdy nie widzieli czegoś podobnego. Setnik, uspokajając oddech, zdawał sobie sprawę, że sytuacja wygląda bardzo źle. Teraz, gdy Rafael miał broń w ręku, szanse na wygraną spadły praktycznie do zera. Pluł sobie w brodę, bo nie doszłoby do tego, gdyby lepiej na sobą panował i po prostu nie korzystał z miecza.

- Walcz! Na co czekasz? – krzyknął oficer, starając się znaleźć wyjście z sytuacji i ocalić resztki honoru.

- Walka skończona – odpowiedział Rafael, trzymając miecz skierowany ostrzem do ziemi.

- Miało być do pierwszej krwi – syknął setnik przez zaciśnięte zęby. – Stawaj do walki tchórze! – Rafael tylko się uśmiechnął i zniżył wzrok, zatrzymując go na cesarskiej zbroi.

Zaniepokojony dowódca zobaczył, że żołnierze gapią się na niego i coś próbują pokazać, wskazując na jego szyję. Szybko więc podniósł rękę, by sprawdzić, czy jednak nie jest ranny, ponieważ widział już żołnierzy, którzy z potwornymi obrażeniami potrafili jeszcze normalnie rozmawiać, póki szok bitewny trzymał ich na nogach. Odetchnął z ulgą, gdy upewnił się, że nic mu nie jest, ale zatrzymał spojrzenie na dłoni, dotykającej przed chwilą okolice szyi. Była na niej jedna kropla krwi. Oficer zrobił się błądliwy jak ściana i spojrzał na Rafaela z niedowierzaniem, ponieważ dopiero teraz do niego dotarło, że nieznajomy odebrał mu miecz i uderzył tak szybko, że nie był w stanie nawet dostrzec ciosu. Poza tą jedną kroplą krwi nie miał żadnych innych obrażeń. Tego było już za wiele!

- Rozumiem, że możemy odejść? – zapytał Rafael.

W ciszy, która nastąpiła, słychać było tylko skrzypiące drzwi na drugim końcu osady.

- Co ty zrobiłeś? – zapytał setnik, który zrobił się już kredobiałym.

- Wygrałem pojedynek. I teraz proszę, byś spełnił swoją obietnicę.

- Przecież to niemożliwe... – dowódca czuł nieznośne i palące jak ogień upokorzenie.

Wtedy Rafael nie pytając nikogo o zgodę, zbliżył się do Mirona i Tani, przeciął jednym ruchem więzy na ich rękach, a następnie wrócił do setnika, obrócił miecz w dłoń i skierował go rękojeścią w stronę właściciela. Dowódca odebrał swoją broń, przyglądając się jej dokładnie, a następnie schował ją do pochwy.

Rafael wiedział, że muszą jak najszybciej opuścić ten plac i osadę, ponieważ każdą umowę i dane słowo potrafią zniszczyć rozbudzone emocje i zranione ambicje.

- Przecież nie możecie ich wypuścić! – zawył kapłan, widząc, że sytuacja wymknęła się spod kontroli.

- Zamilcz – syknął setnik i spojrzał na opiekuna świątyni takim wzrokiem, że ten cofnął się o dwa kroki.

Dowódca rozejrzył się po zebranych i wziął głęboki oddech.

– Zgodnie z danym słowem i obowiązującym prawem, oczyszczam przybyśza Rafaela, a także Mirona, syna Enelona wraz z jego rodziną, ze wszystkich stawianych im zarzutów – powiedział łamiącym się głosem, jednak na tyle głośno, żeby wszyscy słyszeli.

Kapłani zrobili miny, jakby ktoś ich spoliczkował, a z tłumu dało się słyszeć pojedyncze pomruki niezadowolenia. Rafael natychmiast znalazł się przy Mironie, Tani i dzieciach, jednak okazało się, że setnik nie ma zamiaru tak łatwo zrezygnować.

- Zostałeś uwolniony od zarzutów, ale problem nie został rozwiązany. – powiedział niespodziewanie, zwracając się w stronę wędrowca. – Nie jesteś zwykłym chłopem, więc musimy się dowiedzieć coś za jeden. Nie można pozwolić, żeby ktoś taki wałęsał się po Cesarstwie i był zagrożeniem dla porządných ludzi. Teraz będziesz musiał pójść z nami!

Rafael pokręcił tylko głową, lecz wcale nie wyglądał na zaskoczonego.

- Czy jeśli udam się z wami, oni będą mogli odejść?

- Nie, cała rodzina pójdzie z nami, bo bez ich towarzystwa możesz nie być odpowiednio rozmowny – powiedział z ironią młodzian. – Oczywiście będą tylko w charakterze świadków.

Żołnierze zarechotali, doceniając poczucie humoru swojego dowódcy.

- Tylko nie próbuj już żadnych numerów! – powiedział groźnie setnik. – Na tym placu jest kilkudziesięciu żołnierzy.

- W takim razie chciałbym zamienić z nimi dwa słowa – rzekł Rafael spokojnym głosem, jakby tłumaczył coś dziecku.

- Tylko krótko! Potem będziecie mieli dużo czasu na rozmowy.

- Bardzo was przepraszam – szepnął nauczyciel, podchodząc do przyjaciół. – To wszystko moja wina.

- Może uda ci się coś wymyślić? – zapytał Miron. – To, co zrobiłeś z tym dowódcą było niesamowite!

- Wokół jest mnóstwo żołnierzy, nie ma szans, żeby w biały dzień się stąd wydostać... - stwierdził Rafael z kamienną twarzą.

- Czyli nic nie da się zrobić? – gospodarz jeszcze bardziej ściszył głos.

Rafael zawahał się.

- Nic, po czym będziecie mogli wrócić do domu...

- Rób w takim razie co musisz – szepnęła stanowczo Tania i popatrzyła na męża. – Pójść z żołnierzami to pewna śmierć albo długoletnie więzienie i nawet gdybyśmy opuścili osadę na krótko, to po tym, co się wydarzyło, nie wiadomo czy będzie do czego wracać – stwierdziła i wymownie spojrziała na tłum, który się na nich gapił i komentował.

- Ale jak się stąd wydostaniemy? – zaszeptał Miron.

Rafael na chwilę zamknął oczy i wziął głęboki oddech.

- Tania, słyszałaś o aternubes? – zapytał bardzo cicho.

- Tak – odpowiedziała krótko gospodyni, na co Miron zrobił taką minę, jakby zobaczył żonę po raz pierwszy w życiu.

- Gdy się zacznie, pobiegniecie w stronę bramy wschodniej. Potem musicie się dostać do domu, żeby zabrać rzeczy na drogę. Macie na wszystko niecałe pół godziny. Potem musimy wyruszać.

- Dość już tego gadania! – zawołał dowódca. – Związać ich! - rozkazał dwóm żołnierzom, którzy stali najbliżej.

Rafaël, zanim żołdacy zdążyli się ruszyć, wrócił na środek placu i stanął naprzeciwko swojego adwersarza.

- Nie wystawileś Cesarstwu dobrego świadectwa! – powiedział na tyle głośno, by wszyscy go słyszeli. – Słowo oficera powinno być więcej warte...

- Skończyłeś? – zapytał setnik, którego ta uwaga dotknęła do żywego. – To teraz bądź grzeczny, bo tylko wam zaszkodzi.

- Mam nadzieję, że spotkamy się kiedyś w lepszych okolicznościach... – stwierdził Rafaël, a następnie sięgnął ręką do kieszeni i wyciągnął z niej niewielki przedmiot. Nikt nie potrafił rozpoznać co to takiego; nawet żołnierzom nie przypominał on żadnej znanej im rzeczy. Stojący najbliżej dostrzegli tylko, że przedmiot jest czarny i błyszczący, a kształtem i wielkością przypomina rękojeść miecza, nie ma jednak jelca ani żadnego ostrza. Zebrani na placu patrzyli ze zdziwieniem na Rafaëla, który zaczął coś szeptać pod nosem:

*Dzień nie będzie miał mocy
nad ciemnością tej nocy,
Niech chmury – czarne obłoki,
kierują ukryte me kroki!*

Dowódca stojący najbliżej wędrowca dostrzegł, jak w dłoni Rafaëla pojawia się coś smolście czarnego, przypominającego chmurę albo bardzo gęstą mgłę o nienaturalnie ciemnej barwie. Na ten widok osłupiały setnik cofnął się ze strachem, a kilka osób z tłumu krzyknęło.

- Dla własnego bezpieczeństwa niech nikt nie rusza się z miejsca! – krzyknął Rafaël i skierował przedmiot ku ziemi, dodając szeptem: - Aternubes!

W tym momencie to, co jeszcze przed chwilą otaczało dłoń wędrowca, zaczęło się gwałtownie powiększać, nie tracąc jednak nic ze swojej gęstości. Mupoks zalała gęsta jak mleko mgła, mająca barwę gotowanej smoly. Po chwili wszyscy na placu i na ulicach osady znaleźli się w ciemności, jakby nagle skończył się dzień i zapanowała bezgwiezdna noc. Rafaël, chociaż dobrze poruszał się w ciemności, teraz miał ograniczone pole widzenia. Mimo to spostrzegł, że wiele osób posłuchało go i pozostało na swoich miejscach; inna rzecz, że część osób ze strachu nie była w stanie się ruszyć. Niektórzy zaczęli biegać, zderzając się ze sobą i głośno krzycząc. Rafaël wiedział, że ma niewiele czasu i teraz musi zająć się powstrzymaniem pościgu, więc wszedł w ciemność wypatrując żołnierzy. Po chwili słychać było tylko pojedyncze krzyki, które milkły jeden po drugim.

Tania, gdy tylko zobaczyła czarny obłok w dłoni Rafaela, dała znać mężowi, że to jest właściwy moment i wykorzystując zaskoczenie żołnierzy, ruszyli pędem w kierunku bramy wschodniej. Miron widząc pustą ulicę zrozumiał, dlaczego Rafael kazał im wybrać dłuższą trasę ucieczki. Gdyby pobiegli do domu najkrótszą drogą, teraz musieliby przebijać się przez tłum ludzi. Dopiero gdy znaleźli się przy bramie, otoczyła ich gęsta mgła. Nadia, która od wyjścia do osady nie powiedziała ani słowa, teraz zaczęła płakać i nie była w stanie biec dalej.

- Spokojnie, to tylko taka osłona – rzekła do dzieci Tania, jakby opowiadała o nowej zabawie. – Rafael ją wyczarował, żebyśmy mogli uciec.

- To Rafael umie czarować? – zapytał Michel, patrząc zafascynowany na czarny obłok.

- Na to wygląda – odpowiedziała jego mama, która uśmiechnęła się do Nadii i mocno ją przytuliła. – Musimy teraz biec do domu. Nie możemy się zatrzymywać – dziewczynka tylko kiwnęła głową, głośno pociągając nosem.

Obeszli osadę od strony południowej, nie napotykać żadnych trudności. Tania i Miron nie zamienili po drodze ani jednego słowa, ponieważ każde z nich myślało, co należy zabrać z domu na drogę. Nie mieli odwagi oglądać się za siebie i dopiero, gdy byli przed chatą, popatrzyli w stronę Mupoksu, który wciąż był otulony czarnym obłokiem. Nie było czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Przed wejściem do chaty Tania podzieliła zadania, każdemu dając coś do zrobienia, a następnie dorośli weszli do środka, dzieci natomiast zostały na zewnątrz.

Nadia miała informować, gdyby zobaczyła Rafaela albo jakiegoś żołnierza, natomiast Michel poszedł do warsztatu, by znaleźć kije, które miały posłużyć do zrobienia tobołków oraz zabrać potrzebne narzędzia. Syn Mirona, chociaż wcześniej marzył o podróżach i przygodzie, teraz czuł, że coś boleśnie ściska go w żołądku i ogarnia go panika. Próbował przypomnieć sobie, co Rafael opowiadał o swoich wyprawach. „Co będzie potrzebne?” - myślał, sięgając po kolejne rzeczy i układając je na stole: młotek, kilka gwoździ, siekierka, sznurek, krzesiwo. „Siekierka może z powodzeniem zastąpić młotek” – stwierdził i odsunął zbędne narzędzie. Potem sięgnął po kije i wybrał pięć najsolidniejszych, następnie zabrał przygotowane rzeczy i pobiegł do domu.

Tania wpadła do kuchni jak burza, wyjęła z kufra kilka dużych chust i rozłożyła je na stole. Bardzo sprawnie poukładała na nich jedzenie, a następnie zawiązała kolejno, robiąc z nich pakunki na drogę. Wzięła też garnek, menażki na wodę i dwa noże. Miron w tym czasie poszedł do sypialni, by zabrać ukryte oszczędności i pamiątki rodzinne oraz przygotować ubrania na drogę, ale bardzo trudno było mu się skupić, bo miał w pamięci, że już raz zostawił dom rodzinny. Wtedy z własnej głupoty i egoizmu, teraz z powodu ludzkiej podłości i jawnej niesprawiedliwości. Czy będzie mógł jeszcze kiedyś tu wrócić? Co się z nimi teraz stanie? Jak będzie wyglądało ich życie? Ze wszystkich sił starał się skupić się na tym, co miał do zrobienia, żeby dręczące myśli nie rozsądziły mu głowy.

Gdy po kilkunastu minutach wszystko było gotowe, w drzwiach domu pojawił się Rafael. Ubranie miał całe we krwi.

- Nie ma czasu na wyjaśnienia – odpowiedział krótko na pytające spojrzenia.
- Dokąd idziemy? – Miron starał się nie patrzeć na przyjaciela.
- Na południe, do Lasu Strzelców. Tam najłatwiej będzie nam się ukryć.
- Myślisz, że będą nas ścigać? – zapytała Tania.
- Nie... raczej już nie – nauczyciel wskazał zakrwawione odzienie. – Ale nie możemy ryzykować.

- W takim razie chodźmy – powiedział gospodarz, zarzucając na ramię kij z największym tobołkiem. Rafael zabrał jeszcze swoją torbę, którą wcześniej zostawił w domu, przewiesił swój tobolek przez ramię i ruszył za Mironem.

Po wyjściu z domu zauważyli, że ciemna mgła zaczęła już opadać i znikać. Nikt jednak nie wychodził z miasta. Tania popatrzyła na Rafaela i jego zakrwawioną koszulę.

- Nie potrzebujesz, żeby cię opatrzyć? – zapytała. – W takim stanie nie dojdiesz daleko.

- To nie moja krew – odpowiedział nauczyciel. – Gdy uciekliście z osady, wiele osób wpadło w panikę, ludzie na siebie wpadali i raniли się nawzajem. Trudno było nad tym zapanować. – Rafael, widząc zaniepokojone spojrzenie Mirona, dodał: – Ta przywołana osłona miała dać nam możliwość ucieczki, a mnie szansę na obezwładnienie jak największej ilości żołnierzy, by uniknąć pościgu. To w większości ich krew...

- Czy ktoś zginął? – zapytał gospodarz, który bał się spytać przyjaciela wprost, czy kogoś zabił.

- Nie – odpowiedział wędrowiec. – Ale większość z nich przez następne tygodnie nie będzie zdolna do służby.

- Po czymś takim to już na pewno uznają nas za przestępców – stwierdził Miron.

- Nie od razu... Jest kilka okoliczności, które nam sprzyjają. Po pierwsze, nie wiadomo jak się teraz zachowa tamten setnik. To jeszcze dzieciak i jeśli znam się na ludziach, będzie próbował zataić cały incydent, choć na dłuższą metę nie będzie to możliwe ze względu na dużą ilość świadków. Po drugie, nawet jak wieści się rozniosą, jesteśmy daleko od stolicy prowincji, gdzie może być podjęta decyzja o liście gończym i ewentualnym pościgu. Po trzecie, póki ta informacja nie dojdzie do stolicy Cesarstwa, nikt tak naprawdę nie będzie wiedział, co się tu stało.

- Masz na myśli użycie *aternubes*? – zapytała Tania.

- Tak.

- Czy to były prawdziwe czary? – zapytali jednocześnie Michel i Nadia, którzy nie chcieli wcześniej wchodzić w słowo dorosłym.

- Można tak powiedzieć... - Rafael zawahał się na chwilę. – Ale to znacznie bardziej skomplikowane.

- Będzie jeszcze dość czasu, żeby wszystko sobie opowiedzieć – powiedział Miron, patrząc podejrzliwie na Rafaela i Tanię. – Teraz nie traćmy czasu, bo rozmowa nas spowalnia.

Po trzech godzinach intensywnego marszu, minęli ostatnie pola i weszli na rozległą równinę. Dzieci, które jeszcze nigdy nie były tak daleko od domu, czuły już ból w nogach,

ale nie skarżyły się, ponieważ nowe wrażenia i widoki dodawały im sił. Krajobraz przed nimi różnił się od ich rodzinnych stron: po całej dolinie były rozsiane pagórki porośnięte trawą i pojedynczymi drzewami, gdzieś tam widać było jaskinie, wokół których znajdowało się całe mnóstwo gładkich i szumiących strumyków, tworzących niewielkie sadzawki.

Rafał był na przodzie grupy wędrowców, by wyznaczyć właściwy kierunek marszu, jednak kiedy tylko mógł, trzymał wzrok utkwiony w ziemię. Tania szła w środku pogrążona w milczeniu i własnych myślach, na końcu zaś szedł Miron wraz z dziećmi, które co chwila odwracały się za siebie, by sprawdzić, czy nikt za nimi nie idzie.

Kilka razy zdarzyło się, że musieli nadkładać drogi i iść naokoło, bo nauczyciel dostrzegł ślady dzikich zwierząt, żerujących na tym terenie albo gdy innym razem zauważył odcisnięte podeszwy butów.

- Bandydzi? – zapytał Miron z niepokojem wpatrując się w mulistą ziemię.

- Na to wygląda – Rafał spojrział na zachód. – Przechodzili tędy kilka godzin temu, więc teraz nie powinniśmy już nikogo spotkać.

Po jakimś czasie dzieci, a zaraz potem dorośli, dostrzegli zarys ogromnego lasu, który ciągnął się przed nimi niemal przez całą linię horyzontu.

- To właśnie jest Las Strzelców – powiedział nauczyciel z wyraźną ulgą. – Powinniśmy tam dojść przed zachodem słońca. Tam zatrzymamy się na nocleg.

- A dlaczego Las Strzelców? – zapytała Nadia.

- Ponieważ na tej równinie rozegrała się bitwa i o zwycięstwo zdecydowali łucznicy...

- A kiedy? – zapytał zaciekawiony Michel, wchodząc Rafałowi w słowo.

- To było ponad dwieście lat temu, jeszcze przed zjednoczeniem Cesarstwa, kiedy każda prowincja była oddzielnym księstwem, a ich władcy walczyli o zwiększenie swoich wpływów. Ta równina, na której jesteśmy, była miejscem, gdzie starli się władcy księstw Frumencji i Karaamu.

- I kto wygrał? – dopytywał chłopiec, rozglądając się i próbując wyobrazić sobie nadchodzące armie.

- Książę Segardu. Wykazał się przy tym dużym sprytem i zręcznością, ponieważ nakazał swoim łucznikom ukryć się w lesie i kiedy tylko dostali sygnał, wypuścili salwę strzał dokładnie w miejsce, gdzie ściągnięto wrogą armię, dziesiątkując tym samym oddziały żołnierzy. To przesądziło o wyniku bitwy, bo poważnie osłabione i ostrzelane wojsko zaczęło w panice uciekać i było już po walce. Taki manewr został wtedy wykorzystany po raz pierwszy w historii. Dzisiaj z pewnością już by się nie udał.

- A dlaczego? – zdziwiła się Nadia.

- Z kilku powodów... – uśmiechnął się Rafał. – Od tamtego czasu dowódcy zaczęli być uważniejsi i przestali wysyłać wszystkie siły w jedno miejsce walki, a żołnierze zostali uzbrojeni w tarcze, chroniące przed ostrzałem. Poza tym podobna strategia wymagała niebywalej koordynacji - bo wszystko musiało być zrobione w odpowiednim momencie - i zmylenia wroga, by nie zdążył się wycofać. Tak czy inaczej, właśnie na

pamiętkę tamtego wydarzenia miejsce kryjówki łuczników i tej zwycięskiej bitwy nazwano potem Lasem Strzelców.

Gdy nauczyciel zauważył, że opowiadanie zajmuje uwagę dzieci, mówił dalej o innych bitwach i ciekawostkach z wojskowości. Nawet Miron, któremu jeszcze nie opadły emocje i szedł zaniepokojony o los rodziny, wbrew tym odczuciom także słuchał z zaciekawieniem historii Rafaela. Gdy zbliżał się wieczór, byli już prawie na miejscu, a las wydawał im się jeszcze bardziej mroczny i złowrogi, jakby za każdym drzewem kryło się coś gotowego do zaatakowania niechcianych gości. „Przynajmniej nikt nie będzie nas tu szukał...” – pomyślał Miron, starając się ukryć gęsią skórkę na rękach.

Przed wejściem do Lasu Strzelców zatrzymali się, by ostatni raz spojrzeć za siebie, a następnie ruszyli dalej, zostawiając za sobą opuszczony dom i całe poprzednie życie.

VIII ROZDZIAŁ – ORLUX

Najgorsza okazała się noc, kiedy po raz pierwszy trzeba było się zmierzyć z nową rzeczywistością, na każdym kroku dającą boleśnie odczuć swój gorzki smak. Gdy tylko udało się rozpalić ogień, wędrowcy poczuli, jak gęsty dym z wilgotnego drewna piecze ich w oczy i drażni gardło. Z każdej strony dochodziły niepokojące dźwięki szumiących liści, łamanych w oddali gałęzi, pohukiwań i świergotu ptaków, więc uszy przyzwyczajone do domowego spokoju co chwila zwracały się w inną stronę, by wypatrywać zagrożeń czających się w leśnej gęstwinie. Mimo ogromnego zmęczenia nawet dzieci nie mogły zasnąć, bo przenikliwe zimno i emocje kończącego się dnia wciąż nie dawały o sobie zapomnieć.

Michel i Nadia mieli spać w prowizorycznym szałasie, który zrobili dorośli, korzystając z nory dawno pozostawionej przez jakieś zwierzę i gałęzi znalezionych w pobliżu. Po jakimś czasie do dzieci dołączyła także Tania, natomiast Miron i Rafael leżeli na ziemi, oparci o siebie plecami i szczelnie otuleni kożuchami, by chronić się przed dotkliwym zimnem.

Gdy wstał nowy dzień, Miron odetchnął z ulgą, ponieważ oprócz źle przespanej nocy nic złego się nie wydarzyło. Teraz na nowo należało rozpalić ogień i przygotować coś do jedzenia. Tania przeliczyła zapasy i stwierdziła na głos, że przy skromnych racjach, jedzenia wystarczy im jedynie na tydzień, ale jeszcze gorzej wyglądała sytuacja z wodą, której zapas bardzo szybko się kurczył. Rafael, gdy tylko gospodyni przelała pozostałą zawartość menażek do garnka, udał się na poszukiwanie jakiegoś strumyka i po niecałej godzinie wrócił zadowolony, niosąc napelnione naczynia. W międzyczasie Miron z dziećmi nazbierali drewna na opał i teraz siedzieli wokół tłącego się stosu, przecierając oczy podrażnione dymem.

- Możecie mi w końcu wytłumaczyć, co tam się stało? – zaczął Miron, wracając do wydarzeń w Mupoksie.

- To była magia, prawda? – zapytała Nadia. – Wymówiliście zaklęcie i wyczarowaliście tamtą chmurę?

- I tak, i nie... – stwierdził Rafael, opierając się wygodniej o pień brzozy i odrzucając sporą gałąź spod pleców. – Odpowiedź na to pytanie jest złożona i nie da się jej zamknąć w jednym zdaniu, ale spróbuję wam to wyjaśnić najlepiej jak umiem. Zresztą jestem wam to winien i... chyba już nie ma sensu chować się za zasłoną tajemnic – nauczyciel spojrział wymownie na Tanię, która lekko kiwnęła głową.

- Przede wszystkim zacznijmy od tego, że na świecie nie ma żadnej magii, zaklęć ani czarów – rzekł wędrowiec, ale widząc zawiedzione miny dzieci, zaraz dopowiedział z uśmiechem: – To znaczy nie istnieją w taki sposób, w jaki opowiadają o tym baśnie czy legendy, w których czarodziejem jest osoba dysponująca jakąś szczególną mocą, pozwalającą panować nad siłami natury, żywymi stworzeniami czy przedmiotami. W bajkach ktoś taki posługuje się magicznym przedmiotem - na przykład różdżką - albo wykonuje czarodziejskie gesty i mówi przy tym zaklęcia. Taki mniej więcej mamy obraz magii, zgadza się? – dzieci pokiwały głowami.

- Tymczasem rzeczywistość jest zupełnie inna, bo człowiek nie ma żadnych specjalnych mocy, czyniących go przez nie wyjątkowym, uprzywilejowanym, ponieważ prawdziwa moc i wielkość tkwi w czymś zupełnie innym... – Michel siedział niespokojnie, ledwo się powstrzymując od zadania pytania, bo przecież widział i słyszał, jak Rafael coś powiedział i z tego przedmiotu, który trzymał w ręce, wydostała się chmura. Jeśli to nie były czary, to co mogłoby nimi być?

- Teraz, by to wyjaśnić, musimy na chwilę cofnąć się do wydarzeń sprzed prawie tysiąca lat. Mamy na ten temat niewiele informacji, ale wiemy na pewno, że po dziesięcioleciach niekończących się wojen nastąpił upragniony czas pokoju i ludzie wyniszczeni ciągłymi walkami, zaczęli odbudowywać swój świat na wojennych zgliszczach i na nowo gromadzić utracone bogactwa. W bardzo krótkim czasie powstało wiele nowych miast i osad, a także rozpoczął się okres rozwoju myśli inżynierskiej, naukowej i przemysłowej, napędzając rozbudowę manufaktur, szlaków handlowych i transportu. Duża część dróg i warowni, które do tej pory można spotkać w Cesarstwie, pochodzi z tamtego okresu. Kiedyś opowiem wam o tym coś więcej, póki co warto zapamiętać, że ten czas został nazwany przez kronikarzy Tempaurum.

Były to także lata rozwoju górnictwa i hutnictwa, ponieważ wciąż bogacące się społeczeństwo tworzyło popyt na następne, coraz lepsze towary, więc rozpoczęto eksploatację wielu nowych złóż, które ich właścicielom zaczęły przynosić ogromne dochody.

To sprawiło, że Góry Północne, do tej pory niedostępne dla człowieka, także stały się celem poszukiwaczy skarbów oraz górników, tropiących nowych miejsc na kopalnie. Pewnego razu jedna z takich zorganizowanych grup trafiła na ukryte wejście do podziemi, które zaprowadziło odkrywców do starego zakładu górniczego. Gdy zaczęli badać to miejsce, zorientowali się, że znajdowały się tam ogromne złoża rudy złota... Okazało się jednak, że to nie złoto było najcenniejszym odkryciem.

Dzieci zrobiły wielkie oczy i zupełnie zapomniały o otaczającym je świecie, zasluchane w opowieść Rafaela.

- W miarę rozbudowy nowej kopalni natrafiono na miejsce, które mieniło się jakimś nienaturalnym blaskiem. Żaden kilof nie był w stanie rozłupać skały w tym punkcie, choć próbowano to zrobić na wszelkie możliwe sposoby. Po wielu nieudanych próbach zdecydowano się nawet zwrócić z prośbą o pomoc do Ferrianów, którzy oczywiście nie odmówili, ale najpierw kazali zamówić u siebie specjalne kilofy ze wzbogacanej stali - kosztowały one małą fortunę - i dopiero z nowymi narzędziami przybyli do kopalni. Olbrzymi przez wiele dni próbowali rozbić skałę, ale poza kilkoma rysami nie zostawili na niej żadnego śladu i jedyne, co udało im się zrobić, to zniszczenie drogocennych narzędzi. Sytuacja nie wyglądała dobrze i wszystko wskazywało na to, że trzeba będzie się poddać. Jednak, jak to w życiu bywa, rozwiązanie znalazło się przez przypadek.

Gdy jeden z górników niósł wodę do oczyszczania rudy złota, nagle się potknął i całe wiadro wylało się na niezniszczalną ścianę. Zauważył, że miejsce, które teraz było

wilgotne, zaczęło się jeszcze intensywniej mienić i polyskiwać. Kopacz odruchowo wziął kilof i uderzył w nie, ale nic się nie stało. Następnie wziął pochodnię i zbliżył się, by zobaczyć, czy go oczy nie zawodzą. Wtedy skała zaczęła błyszczeć jeszcze bardziej. Trzymając pochodnię w lewym ręku, dla pewności jeszcze raz uderzył kilofem w ścianę. Legenda mówi, że znieruchomiał jak posąg, o mało nie mdlejąc z wrażenia, gdy zobaczył, że od ściany odpadł kawałek lśniącej rudy. Mężczyzna zaczął krzyczeć wniebogłosy, aż zbiegli się wszyscy pozostali górnicy. Pokazał im swoje odkrycie, wzbudzając tym samym powszechny podziw i uznanie. Okazało się, że do skruszenia skały potrzebna była woda i światło, a także kilof w odpowiednich rękach. To było przełomowe odkrycie. W taki sposób znaleziono nowy i niespotykany do tej pory rodzaj rudy, którą nazwano orlux. Tania znasz tę nazwę, prawda?

- Słyszałam o niej.

- Wykorzystanie orluxu nie było wcale łatwiejsze niż jego wydobywanie. Oszczędzę wam jednak technicznych szczegółów. Ważne jest to, że udało się stworzyć nowy typ metalu orenex, który nawet bez większej obróbki był pod każdym względem lepszy od najdoskonalszej stali. Oprócz tego z orluxu udało się pozyskiwać niezwykle cenny kamień szlachetny - nazwano go voxen.

- Zawsze myślałam, że to tylko takie bajki dla małych dzieci – powiedziała pod nosem Tania, która nie mogła uwierzyć, że opowieść Rafaela jest prawdziwą historią.

- Coś w tym jest, ponieważ po tym, co się wydarzyło, chciano, by te rzeczy zostały na zawsze zapomniane – stwierdził jej przyjaciel, kontynuując opowiadanie. – Odkrycie orluxu otworzyło zupełnie nowy rozdział historii. Zaczęły powstawać orenexowe zbroje, miecze i tarcze, a także najpiękniejsza biżuteria, którą zdobiły kamienie voxenu. Eksperymentowano z nową rudą na wszelkie istniejące sposoby, starając się odkrywać nowe możliwości i rozwiązania. Kupcy zabijali się, żeby zdobyć choć niewielki kamień voxenu, a władcy płacili niebotyczne sumy za każdy oręż z niezniszczalnego metalu, jak mówiono o orenexie.

Gdy minął jakiś czas od odkrycia tajemniczej rudy, zauważono, że ludzie pracujący przy jej wydobywaniu oraz przeróbce, zaczynają słyszeć dziwne głosy. Najpierw myślano, że było to spowodowane ciężką pracą, niełatwymi warunkami panującymi głęboko pod ziemią, czy też wysokimi temperaturami pieców hutniczych. Nikt nie potrafił wytłumaczyć niezwykłego zjawiska, dlatego wezwano Desertian, mędrców z dalekich pustyń południa, znanych ze swoich zdolności rozwiązywania zagadek i wyjaśniania tajemnic. Gdy przybyli na miejsce, najpierw przez wiele miesięcy towarzyszyli górnikom w wydobywaniu, hutnikom przy przetopieniu rudy i kowalom przy ich pracy, a potem zniknęli na wiele tygodni, by jak to ujęli: „zastanowić się”. Gdy wrócili, stwierdzili krótko, że orlux „śpiewa”.

- Jak to „śpiewa”? – zaśmiał się Miron. – Nie obrażaj się Rafael, ale w życiu nie słyszałem większej bredni.

- Nie mam zamiaru się obrażać, ale tak było w istocie – odpowiedział bez cienia uśmiechu nauczyciel. – Nawet Desertianom, którzy dysponowali ogromną wiedzą, też

trudno było to wytłumaczyć. Ale ich odkrycie stało się podstawą nauki o orluxie. Może innymi słowy... Spróbujcie wyobrazić sobie, że każdy przedmiot na świecie się porusza.

- No, to chyba normalne, że nie stoimy w miejscu – stwierdził gospodarz.

- Zgadza się, ale gdy myślisz o ruchu, masz na myśli ludzi i zwierzęta, ewentualnie rośliny, które rosną – powiedział wędrowiec i wskazał na niewielki głaz, obrośnięty mchem. – Ale wyobraź sobie, że ten kamień też się porusza.

- No chyba, jak go kopnę – zaśmiał się Michel, chcąc włączyć się do rozmowy.

- Ale przecież on stoi w miejscu – stwierdziła siostra chłopca, przyglądając się głazowi bardzo intensywnie.

- Była już wcześniej taka teoria, ale nikt jej nie dawał wiary. My tego nie widzimy, ale każdy przedmiot jest zbudowany z maleńkich cząstek, które poruszają się i wpływają na siebie. W przypadku przedmiotów, ten ruch jest niewidoczny, ale w jakiś sposób istnieje – Rafael zauważył, że Michel po raz pierwszy patrzy na niego z niedowierzaniem. – W każdym razie zauważono, że w przypadku orluxu dzieje się coś do tej pory niespotykanego. Materiał, który jest stały i nie przykłada się do niego żadnej siły, wydaje dźwięki. Nie ma potrzeby w tej chwili wyjaśniać nic więcej, ponieważ to dość skomplikowane. Nas interesuje to, iż odkryto, że w specjalnym procesie przetwórczym można tę właściwość odwrócić, to znaczy sprawić, że nie orlux „śpiewa”, ale reaguje na „śpiew”.

- Ja dalej nic z tego nie rozumiem – zasepił się Miron.

- Chodzi o to, że metal, czyli orenex i kamień, czyli voxen, zaczęły reagować na dźwięk – powiedziała Tania.

- Dokładnie tak – potwierdził Rafael, a dzieci spojrzały na matkę maślanymi oczyma. – Można było tak pokierować produkcją metalu, by ten reagował na dźwięk. Identyczna sytuacja była z kamieniami. To z kolei otworzyło nowe możliwości i każdy, kto miał dostęp do orluxu, zaczął eksperymentować na własną rękę. Z bardzo różnym rezultatem.

- Tylko dlaczego nikt nigdy o tym nie słyszał? – zapytał Miron.

- Okazało się, że przedmiotów reagujących na dźwięk nie da się udostępnić na szerszą skalę, ponieważ odpowiadają tylko na głos tego, który je wytworzył. Dlatego niektórzy arystokraci, gotowi zapłacić fortunę na przykład za bramę otwieraną dźwiękiem, na myśl o spędzeniu wielu tygodni w hucie i potem w kuźni, rezygnowali ze swoich fantazji. Oprócz niektórych magnatów, mających naprawdę idiotyczne pomysły i przeróżne fanaberie, znaleźli się też i tacy władcy, którzy zapragnęli wykorzystać nowo odkryte właściwości orluxu do swoich celów. Zaczęli gromadzić wokół siebie rzemieślników, by ci pracowali nad nowym rodzajem broni. Był to czas, gdy wszystkie rasy żyły ze sobą w zgodzie, dlatego razem z ludźmi pracowali wtedy Ferrianie, Profondianie oraz Desertianie. Ich praca przyniosła pomysłowe i niezwykle rezultaty, jak samowystreliwujące działa, głosowo uruchamiane ampulki z trucizną i wiele innych.

Nikt jednak nie wiedział, że z dala od zgiełku świata zebrała się grupa najwybitniejszych umysłów, która także pracowała nad wykorzystaniem orluxu.

Wybudowali niezwykle nowoczesną hutę, kuźnię i laboratorium alchemiczne, a wynik ich pracy przeszedł najśmielsze oczekiwania. Z orenexu udało im się stworzyć przedmiot, kształtem przypominający różdżkę, w którym można było umieścić trzy ładunki o niezwyklej właściwościach.

- Czar bitewny, czar obronny i czar wsparcia – powiedziała cicho Tania, jakby sobie o czymś przypominała. – Więc te wszystkie legendy rzeczywiście mówiły prawdę?

- Faktycznie, tak je potocznie nazywano – potwierdził wędrowiec. – Ale nie były to żadne czary, tylko produkty wiedzy, doświadczenia i ciężkiej pracy wielu zaangażowanych osób. Całe lata zajęło opracowanie technologii, zdolną wtłoczyć w tak małe elementy potężną moc. Ładunki do broni, nazywane odtąd gestamenami, przypominały wielkością kciuk dorosłego mężczyzny i były umieszczane wewnątrz różdżki, która przygotowana w ten sposób mogła atakować, mieć zdolności defensywne albo wspomagające. Ładunki były jednorazowe, ale w ich miejsce można było umieścić kolejne.

Michel przyglądał się swoim dłoniom, przypominając sobie jak wiele dni zajęło mu stworzenie drewnianej rurki do jednej z zabawek i ile materiału musiał wtedy zniszczyć. Chłopiec nie mógł wyobrazić sobie, jak można było robić podobne rzeczy z metalem i jeszcze umieszczać w środku coś, co działało.

- Już wtedy zdawano sobie sprawę z możliwych zagrożeń – kontynuował Rafael. – Postanowiono zatem, że dla bezpieczeństwa jedna osoba będzie twórcą różdżki, a druga ładunków do niej. W ten sposób do rzucania jednego gestamenu potrzeba było głosu przynajmniej dwóch osób. Podania mówią, że tworzone wtedy ładunki były tak potężne, że mogły zniszczyć nawet całą górę – Rafael wzdrygnął się, jakby zrobiło mu się zimno. – Phisikowie, jak nazwano naukowców, mieli szlachetne zamiary i żywili nadzieję, że ich odkrycie zapewni pokój światu na długie lata. Niestety przez to, że możliwości broni były ogromne i kuszące, niektórzy z ich uczniów rozpoczęli pracę na własną rękę, tak by nie mieć nad sobą żadnej kontroli... – Rafael zatrzymał się na chwilę, dodając: - Natura ludzka tak łatwo ulega pokusie władzy...

- Tu dochodzimy do tej części historii, o której praktycznie nie mamy żadnych informacji i która do tej pory pozostaje tajemnicą. Wiemy tylko, że doszło do walki - okrutnej, bezwzględnej i destrukcyjnej. Nie mamy pojęcia, gdzie rozegrała się bitwa - prawdopodobnie gdzieś w Górach Terrańskich, lecz podania mówią, że wstrząsy i błyski nienaturalnego światła było widać od wodnego miasta na zachodzie, przez Wielką Pustynię aż do Melexii, która w tym czasie jeszcze nie była stolicą Cesarstwa. Wiemy, że zbuntowani uczniowie, starający się stworzyć broń poza jakąkolwiek kontrolą przegrali, ale przy okazji wszystko zostało zniszczone – powiedział Rafael ze smutkiem. – Aby nie dopuścić w przyszłości do podobnych wydarzeń, Phisikowie zdecydowali, że schematy budowy różdżek oraz poszczególnych gestamenów zostaną podzielone, ukryte w różnych częściach świata i odpowiednio zabezpieczone. Tak właśnie się stało i wszelki ślad po nich zaginął.

Przez wieki wiedzę o tych wydarzeniach przykrył kurz zapomnienia, ale nie brakowało tych, którzy starali się odszukać skryte schematy, zawsze jednak bez skutku.

Dopiero sto lat temu, w czasie wojny zakończonej zjednoczeniem Cesarstwa, odnaleziono strzępki informacji o starożytnej broni, a potem plany do ich budowy. Co prawda nie były to schematy Phisików, lecz jedynie notatki jednego ze zbuntowanych uczniów, w dodatku niekompletne. Dały one jednak wystarczająco wskazówek, by po prawie dziesięciu wiekach zapomnienia, stworzyć pierwszą różdżkę, ale niestety z możliwością umieszczenia tylko jednego gestamenu. To jednak wystarczyło, by cesarz otrzymał potężnego sojusznika w postaci nowej broni i wygrał wojnę.

Rafael zrobił przerwę, układając w głowie kolejne zdania.

- Od tamtego czasu każdy następca tronu przechodzi specjalne szkolenie, by stworzyć nową różdżkę dla siebie. Zapasy orluxu są strzeżone i objęte najściślejszą tajemnicą, dlatego nikt prócz cesarza i jego najbliższych nie ma do nich dostępu. Dodatkowo dla obrony każdego kolejnego władcy wybiera się w każdym pokoleniu trzy osoby, nazywane Protektorami. Są one rówieśnikami następcy tronu, którzy otrzymują przywilej stworzenia i posiadania różdżki z gestamenami jednego rodzaju: ofensywnym, defensywnym lub wsparcia.

Gdy Rafael skończył swoją opowieść, w głowach słuchaczy było więcej pytań niż odpowiedzi.

- Czy ty... ? – Miron starał się ubrać myśli w słowa, ale było to dla niego bardzo trudne.

- Tak – Rafael wiedział, o co chce go spytać przyjaciel. – Należałem do cesarskiego dworu i byłem jednym z trzech Protektorów, którzy mieli prawo posiadać różdżkę i używać gestamenów wsparcia.

Zapadła cisza, w której każdy jak mógł starał się zrobić porządek we własnych myślach. Tania już wcześniej podejrzewała, że Rafael musiał być jakoś związany ze stolicą, w przeciwnym razie nie miałby szans na zdobycie tak gruntownej wiedzy i wykształcenia. Miron natomiast zastanawiał się, co musiało się stać, że człowiek, który był przy samym cesarzu, nagle stał się wyrzutkiem i teraz siedzi tu z nimi w lesie, na wilgotnej ziemi i przy dymiącym ognisku.

Dla dzieci historia o orluxie, gestamenach i Phisikach była niesamowita i za nic nie chciały, żeby Rafael przestał opowiadać. Pragnęły dowiedzieć się jeszcze tylu rzeczy i wypytać o Protektorów, cesarza i życie w Melexii.

- Moja historia to opowieść na inną okazję – rzekł Rafael, gdy dzieci obrzuciły go gradem pytań. – Teraz ważne jest tylko to, że po latach służby na dworze znałem doskonale Cesarstwo i uświadomiłem sobie, że nie jest tym, czym powinno być. Zjednoczeniu poszczególnych prowincji towarzyszyło pragnienie, by wszyscy obywatele mogli żyć w jednym państwie, które miało zapewnić im pokój i bezpieczeństwo. W ten sposób każdemu byłoby dane cieszyć się równymi prawami i szansą na dobre życie pod opieką władcy, troszczącego się o nich. Jednak kolejni upojeni panowaniem cesarze przestawali myśleć o państwie, a jednocześnie coraz bardziej wierząc w swoje boskie pochodzenie, starali się wzmacniać kult wokół własnej osoby, zamiast skupić się na budowaniu dobrobytu. Wiele się złożyło na taki stan rzeczy, ale jedno okazało się pewne:

umiejętnie podana pokusa władzy jest w stanie zniszczyć nawet najlepsze serce. W ten sposób rozpoczęto budowę świątyń ku czci władcy - kult stał się w nich fundamentem prawa, a kapłani pełnili funkcję kogoś w rodzaju urzędników.

Jedynowładztwo nie byłoby może aż tak złym rozwiązaniem, gdyby wokół cesarza nie zgromadziły się osoby, które szukając własnych korzyści, podpowiadały władcy coraz gorsze i straszliwsze pomysły. Wiele prawych osób nie mogło znieść takich zmian w państwie, ale ich działania były nieskuteczne. W końcu zawiązała się grupa stawiająca sobie za cel nie tyle obalić władzę, ile zdyskredytować jego najbliższych współpracowników, przez których nie był w stanie przejrzeć na oczy. Spiskowcy nie byli zbyt liczni, ale mieli spore możliwości, ponieważ znalazło się wśród nich wiele utalentowanych osób. Niestety nasz plan się nie udał i musieliśmy uciekać. To było dokładnie dwadzieścia lat temu. Od tamtej pory moje życie to nieustanna tułaczka i poniewierka, bo nigdy nie mogłem zatrzymać się w jednym miejscu na dłużej niż kilka tygodni...

Rafał przerwał wypowiedź, ściągając palcami brwi i zasłaniając dłonią oczy, które zeszkliły się, błyszcząc ametystowo.

- Gdy was poznałem, obudziła się we mnie nadzieja, że mogę znowu, chociaż przez chwilę, normalnie żyć. I potem doszło do wydarzeń, które doprowadziły nas tutaj...

- To dlatego unikałeś świątyni... – stwierdził Miron.

- Tak. Widziałem wiele zbrodni i okrucieństw, jakich dopuszczał się cesarz, i jego poplecznicy. Dlatego nie mogłem stanąć przed jego pomnikiem, nie wspominając już o składaniu ofiary.

- Nie mogłeś nam tego powiedzieć wcześniej? – zapytała Tania.

- Każdy ma swoje tajemnice – stwierdził Rafał, odzyskując panowanie nad sobą. – Poza tym uznałem, że tak będzie lepiej. Brak świadomości jest czasem najlepszą obroną. Poza tym nigdy nie byłem rozpoznany. Czasem mój wygląd wzbudzał czyjeś zainteresowanie, ale nic więcej...

- Gdyby ten dowódca wiedział kim naprawdę jesteś... - zastanowił się Miron, a na jego twarzy malował się coraz większy niepokój.

- To wszystko potoczyłoby się inaczej... – w głosie Rafała pobrzmiwał stalowy upór. – Żołnierze byli nastawieni, by schwytać i ukarać człowieka, który nie chodził do świątyni, a nie by stanąć do walki z byłem Protektorem. Na szczęście udało się wykorzystać element zaskoczenia i wyszliśmy z tego bez żadnych obrażeń.

- Rozumiem, że masz teraz jakiś plan? – zapytała Tania.

- Wiecie już kim jestem. Teraz musimy jak najszybciej opuścić te strony, ponieważ informacja o wydarzeniach w Mupoksie prędzej czy później dojdzie do stolicy. Lepiej, żebyśmy wtedy byli jak najdalej. Potem będzie wiele miejsc, do których będę mógł was zaprowadzić, gdzie będziecie mogli zamieszkać i znowu wieść spokojne życie. Zdaję sobie sprawę, że nic nie zastąpi waszego rodzinnego domu w Mupoksie, ale może uda się odnaleźć jakiś zakątek, gdzie po jakimś czasie poczujecie się jak u siebie.

- My? – zapytał zdziwiony Miron. – A co z tobą?

- Zostawisz nas? – Nadia spojrzała ze strachem na swojego nauczyciela.

- Gdy już dotrzemy na miejsce, będę musiał wyruszyć dalej – stwierdził Rafael. – To za duże ryzyko, ponieważ prędzej czy później powtórzyłaby się ta sama historia.

- Ale gdzie pójdiesz? – zapytał Michel.

- Gdy bunt w pałacu został stłumiony, musieliśmy uciekać ze stolicy i każdy udał się w inną stronę, żeby trudniej było nas wytropić. Potem dowiedziałem się, że niektórym udało się spotkać i założyć własny obóz – Rafaelowi znowu zaświeciły się oczy. – Nigdy tam nie byłem, ale przed przybyciem do Mupoksu odkryłem pewną wskazówkę, która – jak mam nadzieję - pomoże mi go odnaleźć. Myślę, że po latach przyszedł najwyższy czas, by dołączyć do pozostałych...

- I co zrobicie? – Miron nie potrafił ukryć zdziwienia. – Znowu wystąpicie przeciwko cesarzowi?

- Kto wie... – zamyślony nauczyciel nie spojrzał na przyjaciela. – Na razie wciąż nie mam pewności, czy to miejsce w ogóle istnieje, ale mam zamiar się tego dowiedzieć.

- To idziemy z tobą! – krzyknęli razem Michel i Nadia.

- To przeze mnie wasze życie legło w gruzach – powiedział Rafael do rodziców, ale przyglądając się dzieciom. – Mam nadzieję, że kiedyś mi to wybaczycie. Teraz chcę zrobić wszystko, by dać wam możliwość zacząć je na nowo.

Chociaż dla Mirona wszystko, co wydarzyło się od ostatniego dnia, było nierzeczywiste, to jednak poczuł wdzięczność, że jego przyjaciel opowiedział wreszcie coś o sobie; choć jednocześnie gospodarz poczuł ukłucie żalu, że Rafael zdradził kim jest dopiero w tak dramatycznych okolicznościach.

- W każdym razie wiele spraw się wyjaśniło – rzekł Miron, nie mając siły, by drażyć temat buntów, Cesarstwa i nie wiadomo czego jeszcze. – Może na dzisiaj wystarczy już rozmów na poważne tematy. Myślę, że zostaniemy tu na kolejną noc, a rano ruszymy dalej. Warto o czymś pomyśleć, żebyśmy znowu nie spali pod gołym niebem.

Gospodarz wstał jako pierwszy, a za nimi ruszyli pozostali, każdy do swoich zajęć. Tania przygotowywała obiad, który miał być też kolacją, dzieci pobiegły nazbierać nowy zapas drewna na ognisko, natomiast mężczyźni zrobili prowizoryczne zadaszenie, mające ich chronić przed deszczem i przynajmniej częściowo przed chłodem. Po jedzeniu Rafael stwierdził, że chce rozejrzeć się po okolicy, tym bardziej, że domyślał się, iż rodzina potrzebuje czasu na rozmowę i podjęcie decyzji, co dalej. Gdy wrócił do obozu, wszyscy już spali, więc nauczyciel wcisnął się do szalasu obok Mirona, który głośno chrapał, a po jakimś czasie sam zasnął.

Gdy rano wstali, Rafael domyślał się, że wczorajsza rozmowa Mirona i Tani była długa i niełatwa, bo oboje mieli podkrążone oczy i bardzo poważne miny.

- Wczoraj zdecydowaliśmy, gdzie chcemy się udać i mamy nadzieję, że nie będzie to dla ciebie problemem – powiedział Miron, starając się, by jego głos brzmiał pewnie. – Jeśli się zgodzisz, chcemy iść z tobą do obozu buntowników...

Rafael prędeż spodziewałby się prośby, żeby odprowadzić rodzinę do Melexii, ale kiwnął głową i z niepokojem spojrział na dzieci, które przykleiły się w uścisku do jego kolan.

IX ROZDZIAŁ – LAS STRZELCÓW

Rafael, który w ciągu ostatnich miesięcy poznał Michela i Nadię jako bardzo pojętnych i utalentowanych uczniów, przyglądał się im teraz z prawdziwym podziwem, chociaż starał się go ukryć pod maską stanowczości i spokoju. Minał tydzień od ucieczki z Mupoksu i mimo trudnych warunków, dzieci nigdy nie skarżyły się na zimno, niewygodę czy źle przespane noce.

Nie był to zresztą koniec niespodzianek, jakie kryła w sobie rodzina Mirona. Nauczyciel już wcześniej zwrócił uwagę, że Tania zabrała z domu niewielkie zawiniątko, które gospodyni nosiła przy pasie. Okazało się ono misternie uszytą sakwą z mnóstwem przegródek i schowków na zioła. Dzięki temu kobieta każdego dnia mogła przygotowywać herbatę z liści melisy, malin i rumianku, którą dzieci uwielbiały. „Na poprawę humoru” – mówiła gospodyni, częstując wszystkich pachnącym napojem. Rafael pił herbatę nie tylko ze smakiem, lecz także ze świadomością, że każda z roślin ma właściwości lecznicze, w szczególności przeciwgorączkowe.

Przedzierając się przez las, kierowali się cały czas na wschód, by jak najszybciej oddalić się od Mupoksu. Z zasłyszanych wcześniej informacji Rafael starał się ułożyć plan podróży: wiedział, że po wyjściu z Lasu Strzelców muszą się kierować na północny wschód, przejść przez Góry Smocze, przepłynąć się przez rzekę Eredaan, a następnie znaleźć dolinę z wielkim jeziorem. To właśnie tam miała być umieszczona wskazówka, którą według zasłyszanych rozmów mogły rozpoznać tylko osoby uczestniczące w cesarskim spisku, a to właśnie ona miała doprowadzić do obozu buntowników.

Nauczyciel wolał na razie nie mówić dzieciom jak daleka jeszcze czeka ich droga, tym bardziej, że trzeba było myśleć o tak prozaicznych rzeczach jak jedzenie - niestety jego zapasy powoli się kończyły. Ta myśl szczególnie nie dawała spokoju Mironowi, który czuł się odpowiedzialny za swoją rodzinę, a jako rolnik po prostu nie wiedział, jak można zdobyć pożywienie w takim miejscu i o tak wczesnej porze roku. Odetchnął z ulgą, gdy jego przyjaciel zaczął rozmowę na ten temat.

- Polowałeś kiedyś? – zapytał Rafael przyjaciela.

- Nie. Całe życie pracowałem wyłącznie w polu.

- Na naukę nigdy nie jest za późno – uśmiechnął się nauczyciel. – Tylko najpierw musimy pomyśleć o jakiejś broni.

- Mamy przecież noże! – krzyknął ucieszony Michel, który z daleka usłyszał rozmowę mężczyzn.

- To prawda, ale raczej przydadzą się później – stwierdził dawny buntownik. – Teraz potrzebujemy czegoś, co pozwoli nam zapolować z dystansu. Z tego, co zauważyłem, w tym lesie jest mnóstwo drobnej zwierzyny.

- Przecież nie mamy luków – zmartwił się Miron.

- W takim razie musimy je zrobić – powiedział swobodnie Rafael i popatrzył na najmłodszych. – Dla wszystkich. – Michel i Nadia aż podskoczyli z wrażenia.

Na początku drogi, dzieciom nie brakowało wrażeń, ale od jakiegoś czasu wędrówka przez las stawała się coraz bardziej męcząca i monotonna. Michel i Nadia nie

wiedzieli co ze sobą zrobić, żeby nie myśleć o trudach drogi, dlatego teraz propozycja Rafaela była dla nich jak urodzinowy prezent.

- Tutaj znajdziemy wszystko, czego potrzebujemy – stwierdził cesarski Protektor, rozglądając się po lesie. – Łuki zrobimy z jesionu, a strzały z leszczyny. Jesteśmy już dość daleko od Mupoksu i nic nie wskazuje na to, żeby ktoś nas szukał, więc nic się nie stanie, jeśli poświęcimy temu trochę czasu.

Następnie zabrali się do pracy, szybko znajdując młode jesiony o odpowiedniej wysokości i wycinając je.

- Drewno na łuk powinno być właściwie sezonowane – zmartwił się Rafael. – Takie świeżo wycięte straci dużo na dynamice... Ale przynajmniej nie powinno zbyt szybko się złamać – pocieszył dzieci.

Potem przyszedł czas na oczyszczanie drzew z kory. Dla wszystkich było to świetną zabawą, szczególnie gdy Rafael pokazywał w jaki sposób profilować broń, a następnie sprawdzał kolejno wszystkie łuki, ich kształt, długość naciągu i ułożenie ramion przyszlých strzelców.

Najlepiej radziła sobie Tania, która jak zauważył nauczyciel, tylko przez grzeczność słuchała jego uwag. Widać było, że doskonale wie co i jak ma zrobić.

Dzień skończyli w dobrych nastrojach i wszyscy byli z siebie bardzo zadowoleni. Nawet wyjątkowo chłodna noc nie zepsuła im dobrego humoru i już następnego dnia z entuzjazmem zabrali się za przygotowanie strzał do swoich łuków. Rafael tłumaczył, w jaki sposób je wykonać i odpowiednio zaostrzyć.

Pierwsze próby strzeleckie były dalekie od doskonałości i nawet nie było mowy o jakiegokolwiek precyzji, ale po jakimś czasie i wielu godzinach ćwiczeń, na krótkim dystansie strzały leciały prawie prosto.

- Na tym etapie to już duże osiągnięcie – stwierdził nauczyciel, który na pierwsze polowanie poszedł sam, ponieważ nikt oprócz niego nie potrafił jeszcze skutecznie korzystać ze swojej nowej broni. Wrócił po pewnym czasie, niosąc w ręku dwa zające i kuropatwę. Dzieci podbiegły do niego, oglądając z zainteresowaniem owoce polowania, lecz po chwili zrzędy im miny, gdy Rafael powiedział, że powinny też wiedzieć jak oprawia się zwierzęta i pozyskuje pióra. Nadia zasłaniała oczy, gdy zajęto się zającami, ale za to szybko i chętnie nauczyła się skubać pióra w taki sposób, by ich nie zniszczyć. Następnie Tania przygotowała pyszną potrawkę i po raz pierwszy od ponad tygodnia najedli się do syta.

Kolejne dni miały w podobny sposób - najpierw jedli skromne śniadanie, najczęściej z tego, co zostało z poprzedniego dnia, a następnie udawali się w drogę. Rafael obserwując dzieci starał się, by pokonywali najwyżej kilkanaście mil, co było wystarczającym dystansem i pozwalało zachować siły na inne rzeczy. Oczywiście, gdyby mieli za sobą ścigających ich żołnierzy, byłoby to zdecydowanie za mało, jednak nic na to nie wskazywało, więc mogli sobie pozwolić na wolniejsze tempo.

Wczesnym popołudniem zatrzymywali się na nocleg i resztę dnia wykorzystywali na ćwiczenie strzelectwa. Ku zdziwieniu wszystkich okazało się, że najlepiej radzi sobie

Nadia. Dziewczynka znakomicie czuła się z łukiem, jednak tylko pod warunkiem, że nie musiała strzelać do zwierząt. Rafael nauczył ich jak robić lotki do strzał z ptasich piór, a ponieważ był to bardzo żmudny proces i na początku wymagał nabrania wprawy, pierwsze strzały nie wyglądały zbyt okazale. Na szczęście nikt się tym specjalnie nie zrażał. Także w tym przypadku najlepsza okazała się Nadia, która przy robieniu strzał miała naprawdę anielską cierpliwość.

W międzyczasie Rafael uczył przyjaciół poruszania się po lesie: w jaki sposób odnajdywać kierunek drogi po wyglądzie roślin i gdzie szukać legowisk zwierząt, pokazywał i opowiadał o roślinach i ziołach, które napotykali oraz ich zastosowaniu, a także jak wytworzyć proste pułapki na małe zwierzęta. Wskazał im też miejsca i sposoby, dzięki którym można się szybko ukryć.

Po kilkunastu dniach, obserwując ich postępy, nauczyciel uznał, że Miron nabral już wystarczającej wprawy w posługiwaniu się łukiem i zabrał go ze sobą na polowanie. Dopiero po wielu godzinach udało im się upolować jednego zająca. Rafael dziękował w duchu, że trafili na duże skupisko zwierzyny, bo tylko dzięki temu zabląkana strzała przyjaciela trafiła w końcu do celu. Miron wrócił do żony i dzieci dumny jak paw, pokazując upolowane zwierzę, jednak potem nie miał nic przeciwko temu, żeby Rafael zaczął zabierać ze sobą coraz częściej Michela. Byłemu gospodarzowi bardzo odpowiadało to, że nie musiał się już skradać po lesie i będzie się zajmował zwierzętami zdobytymi przez kogoś innego.

Michel istotnie poruszał się cicho, szybko, był bardzo zwinny i coraz lepiej radził sobie z łukiem. Za to, ku prawdziwemu zdumieniu Rafaela, prawdziwą mistrzynią okazała się Nadia, która nie tylko nauczyła się bezszelestnie poruszać po lesie, ale także bezbłędnie strzelać. Nauczyciel żałował tylko, że dziewczynka nie chciała mierzyć do zwierząt, bo to znacznie skróciłoby każde polowanie. Po jakimś czasie zgodziła się jednak, że może płoszyć zwierzynę albo zmienić kierunek ucieczki jakiegoś stworzenia, ale nic ponadto. Rafael uznał, że zawsze dobre i to.

Postępom swoich bliskich przyglądała się Tania, która sama wolała stać z boku. Gdy brała swój łuk do ręki, nie miała do niego serca ani specjalnej ochoty.

Pewnego popołudnia, dzieci urządziły sobie w lesie tor przeszkód, a dorośli siedzieli przy rozpalonym ognisku, ciesząc się blaskiem coraz cieplejszego dnia.

- Niebawem powinniśmy wyjść z Lasu Strzelców – powiedział Rafael i oparł się wygodnie o pień drzewa.

- Jesteśmy już dwadzieścia siedem dni w drodze – stwierdził Miron, który skrupulatnie liczył wszystkie wschody i zachody słońca. – Prawie miesiąc... To już najwyższy czas. Mam dość tego lasu.

- Tylko jakoś ci nie przeszkadzało, że szliśmy zółwim tempem – zachnęła się Tania. – Ale przynajmniej dzięki temu jesteśmy w dobrej formie. Jak na te warunki, oczywiście...

- Masz rację – Rafael przymknął oczy i skrzyżował ręce na piersi. – Jeśli mnie pamięć nie myli, Las Strzelców rozciąga się na prawie trzysta mil, a zdarzało się, że

pokonywaliśmy najwyższej kilka dziennie, a to faktycznie bardzo mało. Ale nie mam poczucia zmarnowanego czasu – nauczyciel otworzył oczy szukając wzrokiem Michela i Nadię. – Niestety, przeprawa przez góry będzie dużo trudniejsza i wymagająca. Musimy się dobrze przygotować.

- Co masz na myśli? – zapytał Miron.

- Słabo znam te strony, ale Góry Smocze nigdy nie służyły z gościnności ani bogactwa w zwierzynę łowną, więc na pewno trzeba zabrać zapasy na drogę. Tak się składa, że mamy dobre miejsce na obóz, więc możemy tu zostać dzień czy dwa i jutro z samego rana pójść z dziećmi na polowanie. Was proszę o przygotowanie odpowiedniego rusztowania, by można było wysuszyć mięso.

- Jak myślisz, ile nam zajmie przejście przez góry? – zapytała Tania.

- Trudno powiedzieć... – zastanowił się nauczyciel. – Mam nadzieję, że nie więcej, niż cztery, pięć dni.

- A właściwie dlaczego te góry nazywają się Smocze? – zapytał Miron.

- Z legend, jak to zwykle bywa... Wiadomo, że żyło tu wiele gatunków dzikich zwierząt i to jedne groźniejsze od drugich – Rafael nie zdziwił się, gdy dosiadły się do nich dzieci, już od jakiejś chwili strzygące uszami i wylapujące każde słowo. – Najbardziej niebezpieczne były shagreeny, ogromne jaszczury, które podobno umiały ziać ogniem.

- Tak jak prawdziwe smoki?! – krzyknęła Nadia.

- Właśnie dlatego mówi się, że w każdej legendzie jest ziarnko prawdy – zaśmiał się były buntownik. – Shagreeny faktycznie trochę przypominały smoki z bajek, jednak były niebezpieczne nie przez to, że ziały ogniem, ale dlatego, że były bardzo duże i niesłychanie szybkie.

- To niby skąd to wiadomo? – obruszył się Miron.

- Kiedyś grupie poszukiwaczy udało się znaleźć szkielet jednego osobnika. Zrobiono bardzo gruntowne badania, dzięki którym wiemy o nich całkiem sporo. Za moich czasów w Melexii, tamten szkielet znajdował się w cesarskim pałacu, zajmując połowę naprawdę dużej komnaty.

- Widziałeś go? – zapytał Michel.

- Tak – Rafael pokiwał głową. – Nie wyobrażam sobie spotkania z czymś takim w cztery oczy. Całe szczęście, że już wyginęły.

- A co im się stało? – zapytała dziewczynka.

- Do końca nie wiadomo, ale od dziesiątek lat nikt żadnego nie widział.

Zanim zrobiło się ciemno, dzieci z matką przygotowały kilka dodatkowych strzał, mężczyźni zebrali drewno na opał, a następnie wszyscy poszli spać wcześniej niż zwykle, żeby z samego rana udać się w głąb lasu na polowanie.

Tuż po wschodzie słońca Rafael obudził dzieci, którym Tania przygotowała gorącą herbatę i skromne śniadanie. Parujący napój wyraźnie ich ożywił, a jedzenie wzmocniło i po chwili byli już gotowi do drogi.

Gdy nauczyciel z dziećmi zniknęli w leśnej gęstwinie, Miron planował w jaki sposób przygotować miejsce do zasuszenia mięsa i był w swoim żywiole. Chociaż nie

było mowy o wybudowaniu nawet prowizorycznej wędzarni, miał zamiar zrobić wszystko najlepiej jak tylko się dało. Odkrył miejsce, które znajdowało się w pobliżu, a gdzie wiosenny wiatr był wyraźnie silniejszy i z powodzeniem powinien załatwić sprawę.

Tania tylko na początku starała się pomóc mężowi, ale gdy zorientowała się, że ten wcale nie potrzebuje jej pomocy, stwierdziła, że lepiej pójdzie do lasu nazbierać ziół i zniknęła na kilka godzin. Gdy wróciła, Miron już prawie kończył pracę, ale Rafaela z dziećmi jeszcze nie było. Zabrała się więc za przyrządzanie obiadu, który po niecałej godzinie był gotowy i pachniał, intensywnie bulgocąc w kociołku. Prawie w tym samym momencie wrócili myśliwi, a Nadia patrzyła na upolowane zwierzęta ze łzami w oczach. Rafael niósł na ramionach zające, a Michel dźwigał upolowane ptactwo. Poszło im lepiej, niż się spodziewali.

Mężczyźni oprawili zające, a kobiety oskubały pierze, przy czym Nadia bardzo starannie wybrała najlepsze pióra, odkładając je w osobne miejsce. Rafael pochwalił pracę Mirona, który oprócz rusztowania, zbudował także solidne ogrodzenie, by dzikie zwierzęta nie mogły się dostać do przygotowywanych zapasów. Gdy skończyli pracę, mogli wreszcie odpocząć.

Tania wyjęła nazbierane zioła i zaczęła je równo układać, starannie porządkując. Nieco zdziwiony Rafael rozpoznał stokrotki, dziurawce, babki, pączki brzozy i wiele innych roślin, o których wiedział, że nie kwitną wiosną, ale znacznie później. Gdy powiedział o tym Tani, przyjaciółka odpowiedziała po prostu:

- Każdy las ma swoje tajemnice do odkrycia.
- Zdaje się, że nie tylko las... – szepnął pod nosem Rafael.
- Sam mówiłeś, że to najbardziej zalesiony obszar w południowej części prowincji, a w dodatku jeszcze osłonięty od wschodu pasmem Gór Smocznych. To warunki, które pozwalają rosnać wielu rzadkim roślinom, a pozostałym zakwitać wcześniej.
- A na co są te zioła? – zapytał wędrowiec.
- Nie udawaj – skrzywiła się Tania. – Znasz się na nich nie gorzej ode mnie.
- Z tą różnicą, że moja historia jest już znana – cesarski dworzanin spojrzal kobiecie prosto w oczy. – Natomiast ty nadal nic o sobie nie powiedziałaś.
- Fakt, trzeba ci przyznać, że zachowałeś się wtedy dyskretnie – uśmiechnęła się gospodyni. – Kiedy udało ci się odkryć tajemnicę mojego pochodzenia, byłam pewna, że opowiesz o nim Mironowi, a ja nie chciałam, by dowiedział się o tym w taki sposób, więc chwilę później mieliśmy długą małżeńską rozmowę.
- Nie zdziwiłeś się? – zapytał Rafael przyjaciela, który siedział teraz obok żony.
- Wiedziałem od początku, że Tania była sierotą i trafiła do Mupoksu z jakichś dalekich stron wraz z grupą kupców, na krótko przed wybuchem epidemii. To właśnie ona, wraz z moją matką i bratową, opiekowała się chorymi w świątyni, a potem zajęła się także mną, gdy zachorowałem.
- Nie mówiłeś mi o tym...
- No tak... A na czym to ja wtedy skończyłem? – zastanowił się Miron. – A, już pamiętam, na śmierci mojego brata... Gdy pochowaliśmy go obok pozostałych, okazało

się, że przyszła pora i na nas. Razem z ojcem trafiliśmy do świątyni i właśnie wtedy poznałem Tanię, która się nami zaopiekowała.

- Bo ty oczywiście nie zachorowałaś... - rzekł nauczyciel, przyglądając się przyjaciółce.

- Przecież wiesz, że mam immunitet...

- No tak... cecha Desertian, która zawsze budziła zazdrość u innych... Jesteś odporna na każdą chorobę?

- Nie... ale na większość.

- A co z dziećmi? Przygotowujesz te zioła i herbaty, bo nie odziedziczyły po tobie odporności?

- Mają w sobie połowę desertiańskiej krwi, ale ich organizm ciągle się rozwija, więc nie chcę ryzykować – stwierdziła zatroskana matka. – Myślę jednak, że odziedziczyły sporo, bo w przeciwnym razie już od dawna leżałyby w gorączce i złapałyby nie wiadomo ile infekcji.

- A jak udało ci się uratować Mirona?

- To nie było takie trudne, ponieważ jego organizm był wyjątkowo silny... Gdyby nie to, że wracał do Mupoksu w takim pośpiechu, prawdopodobnie w ogóle by nie zachorował. Wystarczyło tylko trochę ziół wzmacniających i troska, żeby się nie odwodnił.

- A twój ojciec?

- On już nie walczył – powiedział smutno Miron. – Pogodził się z losem i był zbyt wyczerpany. Często w gorączce wypowiadał imię mojej matki. Tuż przed śmiercią wydawało się, że zaczął odzyskiwać siły. Opowiadał o gospodarstwie, o tym, co trzeba będzie zasiać i jak urządzić pokój dla dzieci. Byliśmy pewni, że wracał do zdrowia. Kolejnej nocy zmarł we śnie. Na jego ustach pozostał ten sam uśmiech, który mu towarzyszył, gdy patrzył na moją matkę.

- Bardzo mi przykro...

- Prawda jest taka, że gdyby nie Tania, ja też prawdopodobnie bym się poddał – stwierdził gospodarz, patrząc z miłością na żonę. – To ona na nowo obudziła we mnie chęć do życia, która szybko przemieniła się w uczucie.

- Nie zdziwiło cię, że ona nie zachorowała?

- Było więcej takich osób. Uznano, że po prostu mieli szczęście albo większą odporność, co w sumie na jedno wyszło.

- A jak to wyglądało z twojej strony, Tania?

- Miałam wtedy siedemnaście lat – zaczęła Desertianka. – Kupcy, z którymi przybyłam do Mupoksu, byli przyjaciółmi moich zmarłych rodziców. Nie byli Desertianami i zaraza zniszczyła ich organizm już po kilku dniach od wybuchu epidemii. Staralam się im jakoś pomóc, ale nie mieli żadnych szans. Potem zaczęłam zajmować się innymi chorymi i tak poznałam matkę Mirona. Jeszcze nigdy nie widziałam tak dzielnej kobiety. Zaprzyjaźniliśmy się. Kiedy umarła, myślałam, że pęknie mi serce. I potem do świątyni trafił Miron z ojcem.

Tania dyskretnie starła łzę, która spłynęła jej po policzku.

- Jego matka często mi o nim opowiadała, martwiąc się, że nie wie co się z nim dzieje i niepokojąc się o jego los. Słyszałam wielki smutek w jej głosie, lecz nigdy nie wyczułam w nim żalu, co trochę mnie zdziwiło, bo byłam wychowywana w tradycji, że trzeba mścić doznane krzywdy, a nie je wybaczać. Dlatego na początku na samą myśl o nim czułam niechęć graniczącą ze wstrętem, ale gdy tylko poznaliśmy się bliżej, coś się zmieniło. Zobaczyłam w nim człowieka o wielkich zaletach i niezwykle dobrym sercu.

- I tak po prostu zostaliście małżeństwem?

- Nikogo nie musieliśmy pytać o zgodę, bo oboje byliśmy sierotami – stwierdził Miron. – Wbrew wszelkim tradycjom, pobraliśmy się na początku lata i zaraz potem zamieszkaliśmy razem. Dla całego Mupoksu był to bardzo trudny czas, pełen smutku, niepokoju i biedy. Nam jednak, w popiołach tego dramatu, którego byliśmy świadkami, udało się odnaleźć szczęście. Postanowiliśmy żyć dla tych, co już odeszli.

- Potem przyszli na świat Michel i Nadia – gospodyni spojrzała na dzieci. – Wszystko powoli zaczęło wracać do normy.

- I nigdy nie rozmawialiście o twoim pochodzeniu?

- Wtedy te rzeczy nie miały żadnego znaczenia – stwierdziła Tania. – Miron wiedział, że przyszłam z południa i byłam sierotą, i nie potrzebował wiedzieć nic więcej.

- A twoje wykształcenie? Dlaczego postanowiłaś je ukryć?

- Wydaje mi się, że to był taki rodzaj mojego buntu...

Rafał uniósł brwi, nie rozumiejąc co ma na myśli przyjaciółka.

- Wczuj się w moją sytuację! Wcześniej żadna wiedza nie była w stanie ocalić moich rodziców ani potem chorych na zarazę w Mupoksie – powiedziała Desertianka z naciskiem. – Odkryłam w sobie pragnienie, by żyć jak zwykły człowiek, jako żona i matka, z dala od filozofii, astronomii, alchemii czy innych bzdur, które gdy przyszło co do czego, na nic się nie przydały. I gdyby nie twoja wizyta w naszym domu, pewnie tak by już zostało...

- Swoją drogą ciekawe, jak potoczyłoby się nasze życie, gdybym cię wtedy nie spotkał – zastanowił się Miron.

Tania zaśmiała się pod nosem.

- Desertianie wierzą, że w życiu nie ma przypadków i wszystko na świecie, dzieje się z jakiegoś powodu. Może kiedyś się dowiemy, po co zrujnowano życie spokojnej rodziny i porządnym gospodarzy?

- Ja tam nie wierzę w żadne przeznaczenie – powiedział Rafał. – A już na pewno nie w takie, które bezwzględnie kieruje naszym życiem...

- Tego nie powiedziałam – zachnęła się Desertianka. – Chodziło mi raczej o to, że czasem nawet nieszczęścia, niepowodzenia czy porażki, jeśli się je przetrwa, mogą jednak prowadzić do szczęśliwego zakończenia.

Tym razem Rafał wyglądał na rozbawionego.

- Coś podobnego mogły wymyślić tylko oczy zapatrzone w gwiazdy i umysły żyjące z dala od świata – rzekł nauczyciel z przekąsem. – Każdy z nas jest kowalem

własnego losu i nawet jeśli uda się osiągnąć cel, to nie da się zapomnieć o bliznach i odniesionych ranach, czyli tak naprawdę przez większość czasu oddaliśmy się od szczęścia. Jeśli rzeźbiarz podczas swojej pracy wykona jeden fałszywy ruch, to odlupanej skały nie da się już doczepić ani dokleić i dzieło już nigdy nie będzie idealne.

- Zgadza się – pokiwała głową Tania. – Ale właśnie wtedy może się okazać, że artysta dostrzeże, iż może stworzyć w to miejsce coś innego, co może nie będzie już tak ogromne i monumentalne, jak planował na początku, ale przez to wcale nie mniej piękne.

Rafael nic nie odpowiedział, ale wyglądał na zamyślnego.

- Popatrz na nas i na dzieciaki – powiedziała cicho Desertianka, zwracając się do byłego Protektora. – Pomyślalbyś, że rodzina, u której zamieszkałeś, da radę przeżyć miesiąc w dzikim lesie? Nie wiemy co z tego, czego uczymy się dzisiaj, przyda się nam jutro, lecz jestem pewna, że każde doświadczenie za każdym razem otwiera nową drogę i możliwości, i nigdy nie zamyka drogi do szczęścia.

Zapadła cisza, w której słychać było szum lasu i bawiące się w oddali dzieci.

- Ja w każdym razie chętnie rozejrzałbym się za możliwością zjedzenia jeszcze czegoś i pójścia spać – stwierdził rzeczowym tonem Miron, kończąc filozoficzne dysputy.
– Dość wrażeń jak na jeden dzień.

X ROZDZIAŁ – ŁUCZNICZKA

- Chodźcie szybko, bo zaraz nas zobaczą! – rzekł Georg, machając ręką do trójki przyjaciół.

- Naprawdę nie wiem, czy to jest dobry pomysł – szepnęła dziewczynka, gdy prześliznęli się przez wielkie drzwi okute żelazem. – Nauczyciel wyraźnie powiedział, że nie wolno tu wchodzić.

- Daj spokój Laura, przecież nic się nie stanie – zachnął się chłopiec o bystrych niebieskich oczach i gęstych włosach związanych w kucyk. – Przecież wiesz, że cię obronię.

- Zabieraj się z łapami – prychnęła dziewczynka, strącając z ramienia dłoń towarzysza. – Nigdy mnie nie słuchacie, a potem zawsze są kłopoty.

- Jak chcesz możesz wracać – stwierdził Georg. – Wiesz, gdzie jest dormitorium...

Dziewczynka zagryzła wargi i poprawiła w nosie kolczyk, do którego jeszcze nie mogła się przyzwyczać.

- Rafael, powiedz coś. Przecież wiesz, jak to się skończyło ostatnim razem – Laura spojrzała w ametystowe oczy przyjaciela. – Teraz już na pewno dostaniemy dożywotni szlaban, ale wcześniej jeszcze nas zabiją!

- Ufam Georgowi – odpowiedział czarnowłosy. – Poza tym jesteśmy tu po to, by zdobywać wiedzę i służyć cesarzowi, więc wniosek jest prosty.

- I to właśnie jest głos rozsądku – ucieszyli się pozostali mężczyźni. – Nie marudź Laura, tylko chodź!

Dziewczynka pokiwała głową z rezygnacją i powlokła się za przyjaciółmi, którzy cicho niczym nietoperze ruszyli wzdłuż szerokiego korytarza, trzymając się blisko prawej ściany, by w razie nakrycia ukryć się za zbrojami ustawionymi co kilka metrów.

- To tutaj – Georg wskazał drzwi z klamką zakończoną misternym ślimakiem.

Chłopiec z kucykiem złapał za nią, ale drzwi, trzymane w miejscu przez zamek, nawet nie drgnęły.

- To byłoby zbyt łatwe, Matteo! – zaśmiał się pod nosem Georg. – Rafael, masz klucz?

- Jasne! Przecież mówiłem, że go zdobędę.

- Ale numer! – Matteo patrzył z podziwem na przyjaciela, który wyciągnął z wewnętrznej kieszeni niewielkie zawiniątko. – Jak to zrobiłeś?

- To proste – czarnowłosy chłopiec przekręcił klucz w zamku. – Wystarczy obserwować, uśpić uwagę i wykorzystać właściwy moment.

- W tym akurat jesteś dobry... – rzekł Georg, wchodząc do środka za przyjacielem. Gdy znaleźli się w wielkiej sali, Laura krzyknęła przeraźliwie, więc Matteo błyskawicznie zasłonił dziewczynce usta, podniósł ją do góry i zakręcił w powietrzu, by odwrócić jej wzrok od szkieletu, stojącego na środku.

- Mówiłem, że cię uratuję! Auuuu! – krzyknął, gdy zęby Laury wgrzyzły się w jego dłoń.

- Puszczaj, bo popamiętasz – wydyszała dziewczynka, uderzając piętą w stopę swego wybawiciela, po czym Matteo zwinął się w kłębek próbując rozmasować bolące miejsce.

- Kto się czubi ten się lubi... – zarechotał Georg, ale urwał w półzdania, widząc zaciśnięte pięści Laury.

- Lepiej uważaj! – pogroziła dziewczynka. – Bo nie uratuje cię nawet to, kim jesteś!

Rafael nie zwracał żadnej uwagi na sprzeczki przyjaciół, bo całą jego uwagę pochłaniało niezwykle zjawisko, przed którym się znalazł. Szkielet shagreena, przytwierdzony do ziemi cienkimi metalowymi palikami, zajmował cały środek komnaty i był niemal wzrostu chłopca. Bestię cechował masywny, trzymetrowy grzbiet, wydłużona głowa, szeroko rozstawione pięciopalczone kończyny i mocno zrosnięte kości żuchwy, które z łatwością mogły miażdżyć przeciwnika. „Według uczonych, badających szkielet jaszczura, najniebezpieczniejszy był jego ogon” – Rafael przypomniał sobie lekcję, na której omawiali starożytne zwierzęta. Chłopiec zmierzył wzrokiem tę broń gada, która była niemal tak długa jak jego tułów.

- Szkoda, że wymarły... Chętnie bym się z nim spotkał! – stwierdził hardo Georg, stając obok przyjaciela. – To dopiero byłoby godne wyzwanie! – Rafael tylko uśmiechnął się pod nosem.

- Raczej samobójstwo – stwierdziła Laura, obchodząc szkielet wokół. – Sądzę, że oddział wojska mógłby nie starczyć, żeby sobie z nim poradzić. Widzisz łączenia stawów? Ten gad musiał być niezwykle szybki i zwinny. Jak walczyć z czymś takim...?

- Virgalem w leb i po wszystkim – zaśmiał się Matteo.

- Obiecuję, że kiedyś wypróbuję taką strategię na tobie! – krzyknęła dziewczynka z drugiego końca sali. – Pod warunkiem, że ty też będziesz Protektorem.

- Masz jakieś wątpliwości? Przecież poza naszą trójką nie ma lepszych! Zgadzasz się ze mną, Rafael?

- Póki co zgadzam się, że musimy już wracać. Na korytarzu słychać jakieś głosy.

- Niedobrze... Zdaje się, że ktoś się zorientował gdzie jesteśmy i jednak po nas idą – zmartwił się Georg. – Szkoda, że nie ma gdzie się schować...

- Chodźcie tutaj! – zawołała Laura. – Tu jest dobre miejsce! Na pewno go nie wypatrzą!

Po trzech dniach, kiedy wszystko zostało przygotowane, mogli wyruszyć w dalszą drogę. Dzieci pomagały w pakowaniu i wesoło szczebiały, szczęśliwe, że nie muszą zostawać kolejny raz w tym samym miejscu. W ciągu dnia wymyśliły nową zabawę, która polegała na straszaniu dorosłych: wybiegały naprzód i szukały dobrego miejsca na kryjówkę, następnie czekały na swoje „ofiary” i wyskakiwały w najmniej, według nich, spodziewanym momencie. Rafael, co któryś raz, udawał zaskoczenie, by nie sprawić im

przykrości, natomiast Miron i Tania, zajęci rozmową, nie zwracali specjalnej uwagi na wysiłki swoich pociech.

Michel, chcąc przyciągnąć mimo wszystko uwagę dorosłych, wymyślił, że wejdzie na drzewo i wieszając się gałęzi, zeskoczy na dół. Tania, kiedy zobaczyła syna, o mało jej serce nie stanęło, ponieważ chłopcu udało się utrzymać tylko przez chwilę, a potem runął z krzykiem w gęste krzaki. Na szczęście nic mu się nie stało, poza zadrapaniem skóry w kilku miejscach i nabiciem paru siniaków, a do końca dnia wszyscy tylko się z tego śmiali. Największe używanie miała Nadia, która mniej więcej co pół godziny w coraz bardziej malowniczy sposób przypominała, jak wyglądał upadek brata.

Droga mijala szybko i tego dnia przeszli znacznie więcej niż zazwyczaj. Czas w Lesie Strzelców, dzięki niełatwym warunkom, całkiem nieźle ich zahartował. Rafael szczególnie cieszył się z formy dzieci, które po dłuższej przerwie miały teraz niespożyte siły i naprawdę dobrze sobie radziły. Nauczyciel obserwował kątem oka, jak Michel i Nadia przyglądali się śladom dzikich zwierząt, odgadując kierunek, w którym udało się stado dzików i jak klócili się między sobą o nazwy poszczególnych roślin.

Nieprzerwanie największą atrakcją dzieci było strzelanie z luków. Rodzeństwo bez przerwy podchodziło do swojego nauczyciela, żeby pomógł im coś poprawić albo zmienić w ich broni, przez co Rafael był coraz bardziej ciekaw, co by się stało, gdyby dostali do ręki prawdziwe luki, skoro tak dobrze radzili sobie z tymi wykonanymi własnoręcznie z patyków.

Gdy zbliżał się wieczór, znaleźli odpowiednie miejsce na postój i rozbili prowizoryczny obóz. Las się wyraźnie zmieniał, co znaczyło, że muszą być już blisko jego granicy. Drzewa wokół były wyraźnie młodsze, częściej pojawiały się kępy krzewów i niewielkie polany, a podłoże stawało się coraz bardziej piaszczyste. To miała być ostatnia noc w Lesie Strzelców.

Następnego dnia zaraz po wschodzie słońca ruszyli w drogę. Z każdym krokiem drzewa wokół nich coraz wyraźniej się przeredzały, a gdy słońce znalazło się w najwyższym punkcie, wyszli na rozległą dolinę porośniętą trawą i przeróżnymi kwiatami, mieniącymi się różnobarwnymi płatkami krokusów, przebiśniegów, stokrotek, rumianków, fiołków, niezapominajek i całym mnóstwem innych. W oddali widać było niewielkie jezioro, do którego spływała woda z podnóża jednego ze szczytów, biegnąc potem dalej na południe.

Dolina była zamknięta od wschodu pasmem Gór Smocznych - na ich szczycie można było dostrzec jeszcze ślady śniegu, a gdzieniegdzie rosły tylko pojedyncze drzewa. Ten krajobraz był tak różny od tego, do którego przyzwyczaił ich Las Strzelców, że każdy rozglądał się wokół będąc pewnym, że właśnie znalazł się w jakiejś magicznej krainie.

- Jej, jak pięknie! – krzyknęła Nadia. – Mamo, patrz ile tu kwiatów!

- Tato, możemy pobiec do tamtego jeziora? – zapytał Michel, z przejęciem łapiąc Mirona za rękaw koszuli. – Może są tam jakieś ryby?

- Ja myślę, że to jezioro na nas czekało – rzuciła Tania, patrząc na siebie i pozostałych z lekkim obrzydzeniem. – Trzeba skorzystać z okazji i pomyśleć o kąpielu.

- Taaak! – krzyknęły dzieci, radosne, że szykuje się dobra zabawa.

Miron i Rafael spojrzeli na siebie z uśmiechem, ponieważ wiedzieli jak wyglądają, ale do tej pory nie było sensu ani możliwości, by przejmować się stanem ubrań, czy też zasadami higieny. Tym bardziej patrzyli z uznaniem i podziwem na Tanię, która tak ceniła czystość i porządek, a jednocześnie bez słowa skargi znosiła arcyskromne warunki ich podróży.

- To dlatego nie chciałaś się do mnie przytulać? – zażartował Miron, trącając żonę ramieniem.

- Daj spokój – zachichotała Tania. – Przecież wszyscy wyglądamy tak samo.

- To faktycznie dobry pomysł, żeby skorzystać z tego miejsca – stwierdził Rafael, idący za małżeństwem. – Tym bardziej, że po przejściu gór powinniśmy już trafić na jakąś wioskę, więc lepiej doprowadzić się do porządku.

- Niestety i tak nie będziemy wyglądać zbyt okazale – stwierdziła ponuro Tania.

- To nie ma znaczenia. Po całym Cesarstwie wędruje wiele osób, często w znacznie gorszym stanie niż my. Ważne, żebyśmy tylko nie wyglądali na uciekinierów.

Gdy doszli na miejsce okazało się, że jezioro jest znacznie większe niż początkowo sądzili. Słońce rozświetlało taflę wody, która miała przejrzystość kryształu, natomiast brzeg był ziemisty, pełen drobnych kamieni i porośnięty gęstym sitowiem.

- Brrr, ale zimna! – zawołał Michel, który zdążył już zanurzyć rękę w wodzie.

- Jest środek dnia – stwierdził Miron, ściągając z siebie koszulę. – Nic nam nie będzie.

- W takim razie wy zostańcie tutaj – Tania wyciągnęła rękę wzdłuż brzegu. – Natomiast my z Nadią pójdziemy za kępy tamtych traw.

Chociaż kąpiel faktycznie była lodowata, nikt nie zwlekał z wejściem do wody. Michel z prawdziwą satysfakcją słuchał dochodzących z daleka pisków Nadii, która widocznie miała problemy z przyzwyczajeniem się do zimna, ale stanowczy głos matki był nieugięty. Gdy mężczyźni wyszli z wody, zajęli się praniem ubrań, co pozwoliło im chociaż trochę się rozgrzać i wysuszyć. Następnie rozwiesili swoje rzeczy na pobliskim drzewie i rozpalili ognisko. Potem wróciła Tania z nakapurzoną córką i zajęła się przygotowaniem jedzenia oraz gorącej herbaty.

- Nie możemy nocować tutaj – stwierdził Rafael, gdy zaczęło zmierzchać. – To miejsce jest zbyt odsłonięte.

- Może podejmiemy bliżej góry i znajdziemy jakąś jaskinię? – zaproponował Miron.

- Na jaskinie bym uważał, bo mogą mieć lokatorów – uśmiechnął się nauczyciel. – Wystarczy, jak znajdziemy rozpadlinę skalną - będzie szybciej, a chciałbym jeszcze się rozejrzeć i zobaczyć, czy uda się wyszukać jakiś szlak, którym moglibyśmy przejść przez góry.

- To ta droga jest uczęszczana? – zdziwiła się Tania.

- Dawniej była, ponieważ przechodził tędy szlak handlowy z Xantusu do Segardu. Potem wybudowano trakt królewski na północy i dawne przejście przez góry stało się nie tylko ryzykowne, ale i nieopłacalne.

- Góry Smocze są niebezpieczne? – Miron zadarł głowę, sięgając wzrokiem najwyższych szczytów.

- Z tego, co wiem, nie są zbyt przyjazne, choć na pewno nie należą do największych czy najokazalszych w Cesarstwie, bo rozciągają się raptem od południowej granicy Frumencji i kończą na trakcie królewskim. Są za to zimne, skaliste i bardzo zdradliwe. Mam nadzieję, że przejdziemy przez nie jak najszybciej.

Ponieważ nie było sensu ruszać w góry w wilgotnych ubraniach, udali się w kierunku najbliższego szczytu i znaleźli miejsce na nocleg. Potem zdecydowali się podzielić na grupy i rozpocząć poszukiwania, by szybciej natrafić na jakąś drogę lub ślady po dawnym szlaku handlowym. Rafael zabrał ze sobą Michela i poszli na północ, natomiast Miron i Nadia udali się na południe, Tania natomiast została w obozie. Bez względu na wynik poszukiwań, mieli wrócić do obozu najpóźniej po zachodzie słońca, żeby nie narażać się na niepotrzebne ryzyko.

W poszukiwaniach więcej szczęścia mieli ojciec z córką, którzy prawie natychmiast znaleźli dobrze zachowaną ścieżkę, prowadzącą w głąb górskiego pasma. Przeszli nią kawałek, by sprawdzić, czy nie jest to tylko jakiś ślepy zaułek. Gdy upewnili się, że droga cały czas wiedzie coraz dalej na wschód, wrócili do obozu. Michel był bardzo niepokieszony, ponieważ jego poszukiwania nie dały żadnego rezultatu.

Następnego dnia, gdy tylko wyruszyli, bardzo szybko przekonali się, dlaczego Rafael tak ich nastrajał przed podróżą. Zaraz po wejściu na górę powietrze zrobiło się mroźne, a silny wiatr, który przedostawał się przez skalne szczeliny, z każdym podmuchem dotkliwie dawał o sobie znać. Oprócz tego cały czas musieli patrzeć pod nogi, ponieważ obiecujący szlak szybko zamienił się w dziką ścieżkę z ogromnymi, ostrymi kamieniami, po których trzeba było na zmianę wspinać się i zaraz potem ostrożnie schodzić.

Gdy przyszło południe, wszyscy byli złani potem i bardzo zmęczeni. Dzieci zdążyły już zatęsknić za Lasem Strzelców, który choć wymagający, nie mógł się równać z wędrownką, gdzie jeden niewłaściwy krok mógł się skończyć tragedią.

Kiedy Rafael zarządził przerwę, nawet Nadia nie okazała wielkiego entuzjazmu, a już całkiem zmarkotniała, gdy okazało się, że po jedzeniu i chwili wypoczynku muszą ruszać dalej.

W czasie drogi nauczyciel starał się uczyć dzieci chodzenia po górach: jak właściwie stawiać kroki, rozkładać odpowiednio ciężar ciała i poprawnie oddychać. Miron, słuchając słów przyjaciela, zdziwił się, że takie rzeczy mają znaczenie i próbował się dostosować do wskazówek, ponieważ mięśnie oraz stawy nieprzyzwyczajone do ciągłego wchodzenia i schodzenia, boleśnie dawały o sobie znać.

To był pierwszy raz, kiedy Michel i Nadia byli w górach, więc gdy tylko wyszli z Lasu Strzelców, ich widok zrobił na dzieciach duże wrażenie. Teraz jednak zostało ono całkowicie przyćmione przez trud wędrówki.

- Trudno zachwycać się pięknem, kiedy boli każdy mięsień – skomentował pod nosem Michel, gdy Tania wskazała dzieciom kępę ziół, rosnących nieopodal.

Dopiero, gdy udało im się dotrzeć na wysokość, z której rozpościerał się widok na północny zachód prowincji, dzieci znowu były zachwycone i co chwila pytały rodziców oraz Rafaela, czy tamta plamka w oddali to Mupoks. Właśnie teraz mogli też ocenić wielkość Lasu Strzelców, którego połacie ciągnęły się jeszcze daleko za horyzont.

Zaczęło już robić się ciemno, a Rafael wciąż rozglądał się za jakimś dobrym miejscem na postój, co tym razem było naprawdę trudnym zadaniem. Gdy się w końcu zatrzymali, mogli podziwiać ostatnie momenty zachodu słońca, ale nie było żadnych okrzyków zachwytu, ponieważ każdy padał z nóg. Stwierdzili, że póki znajdują się w górach, należy spać w jednym miejscu. Rafael uznał też, że dla bezpieczeństwa powinni pełnić warty, więc ustalili, że będą się wymieniać z Mironem mniej więcej co dwie godziny.

Silny wiatr, który co jakiś czas zrywał się w nocy i wyl między skałami, kilka razy budził dzieci, jednak ich zmęczenie sprawiało, że od razu zasypiały na nowo. Potem przyszedł kolejny dzień, który oprócz pięknej pogody przyniósł też niestety okropny ból, niepozwalający się ruszyć.

- To zakwasy – stwierdził Rafael, słysząc narzekanie dzieci. – Niektóre mięśnie nie są przyzwyczajone do długotrwałego wysiłku i później boją. Mogę was tylko pocieszyć, że z czasem ich kondycja się poprawi.

- Ale dzisiaj też musimy iść tak daleko? – zapytał Michel, który był w bardzo złym nastroju. – I tak długo? – odpowiedziała jego siostra.

- Tak. Powinniśmy jak najszybciej przejść te góry i nie możemy się ociągać.

W czasie drogi, gdy weszli na rozległy, płaski odcinek, a dzieci szły na przodzie, Tania podeszła do Rafaela.

- Widziałeś te ślady? – zapytała cicho Desertianka.

- Tak – odpowiedział jej przyjaciel i twarz ściągął mu dziwny wyraz, który wyrażał coś pomiędzy z troskaniem i złością.

- Jakie ślady? – zapytał Miron. – O czym wy mówicie?

- Wczoraj wieczorem dostrzegłem już pierwszy, ale dziś jest ich znacznie więcej – powiedział Rafael do przyjaciela. – Problem polega na tym, że nie mam pojęcia, co je mogło zostawić.

- To jakieś zwierzę? – dopytywał się gospodarz.

- Na pewno nic kopytnego – stwierdziła jego żona. – Może niedźwiedź?

- Nie, wtedy ślad byłby głębszy, a to „coś” jest lżejsze.

- „Coś”? To może ryś? – Miron starał się przypomnieć sobie wszystkie zwierzęta, o których słyszał, że żyją w górach.

- To nie wyglądało na ssaka – powiedział Rafael. – Raczej na...

- ...gada – dokończyła Tania prawie szeptem.

Miron nie od razu zorientował się, czemu żona ściszyła głos, lecz zaraz przypomniał sobie ich wcześniejszą rozmowę.

- No chyba nie myślicie, że to może być shagr...

- Cicho! – syknęła Tania. – Chcesz wystraszyć dzieci?

- Rafael, chyba nie mówicie poważnie?

- Nie wiem, co o tym myśleć – odpowiedział przyjaciel. – Wiem tylko, że naprawdę musimy jak najszybciej przejść przez te góry.

- Cokolwiek to jest, jeszcze nas nie zaatakowało ani nie dało się zauważyć – stwierdził Miron. – Może jednak nie grozi nam niebezpieczeństwo?

- To jeszcze o niczym nie świadczy – stwierdził Rafael. – To coś może nas obserwować albo jeszcze nie zgłodniało po skończonej zimie.

- To co robimy? – zapytał Miron, nerwowo rozglądając się na wszystkie strony.

- Zachowujemy czujność. I liczymy na szczęście...

Musieli skończyć rozmowę, ponieważ dołączyli do nich Michel i Nadia, zainteresowani tym, o czym dorośli rozmawiają za ich plecami. Tania, nie chcąc nic mówić dzieciom, pokazała im zamiast tego arnikę górską - żółty kwiat o lancetowatych płatkach, który charakteryzował się wieloma właściwościami leczniczymi.

Dorośli od tej chwili mieli cały czas przygotowane luki, lecz zdawali sobie sprawę, że jeśli naprawdę spotkają coś niebezpiecznego, to z taką bronią nie będą mieli większych szans na skuteczną walkę.

Ślady, które pojawiały się coraz częściej, były świeże, więc ich właściciel musiał przechodzić tędy niedawno, a pocieszające było jedynie to, że prawdopodobnie mieli do czynienia tylko z jednym osobnikiem, a nie całym stadem.

Gdy zmęczeni do granic możliwości wreszcie zatrzymali się na nocleg, postanowili, że do pełnienia warty dołączy też Tania – wówczas jedna osoba miałaby udać się na spoczynek, a dwie pozostałe stać na straży, tak żeby zwiększyć bezpieczeństwo, a każde z nich przespało przynajmniej niewielką część nocy.

Teraz najmniejszy dźwięk sprawiał, że dorośli zrywali się na równe nogi. Kilka razy wydawało im się, że w ciemności widzą parę gadzich ślepi, które wypatrują swojej ofiary, jednak tej nocy nic złego się nie stało.

Gdy nastał poranek, Rafael był przekonany, że jeszcze tego samego dnia opuszczą Góry Smocze, lecz gdy powiedział o tym Mironowi i Tani, w jego głosie nie slychać było entuzjazmu. Miron był pewien, że jego przyjaciel nie przespał tej nocy ani jednej minuty. Rafael miał podkrążone oczy, blade usta i reagował na każdy, nawet najmniejszy dźwięk, obojętnie czy był to spadający z góry kamień, czy też ptak zrywający się do lotu. Nawet pogodny dzień i bezchmurne niebo nie potrafiło uciszyć niepokoju, który co chwilę kłuł boleśnie w serce.

Gdy minęło południe, wiedzieli, że zbliża się koniec przeprawy, gdyż szczyty wyraźnie łagodniały i widać już było panoramę ciągnącą się na wschód aż do słabo widocznej rzeki Eredaan, stanowiącej następny etap ich podróży. Ten widok dodał

wędrowcom nowych sił i wszyscy przyspieszyli kroku, ciesząc się, że już niedługo wejdą z powrotem na równiny.

Rafael cały czas śledził wzrokiem każdy ruch między skałami i teraz był pewien, że podąża za nimi coś dużego. Nie miał wątpliwości, że są w śmiertelnym niebezpieczeństwie, ale nie podjął jeszcze decyzji czy uciekać, czy zatrzymać się w miejscu, przygotowując się na nieunikniony według niego atak.

- Miron, Tania, przygotujcie luki – powiedział w końcu do przyjaciół, nakładając strzałę na cięciwę.

- Coś się dzieje? – zapytał przestraszony gospodarz.

- To zwierzę idzie za nami – rzekł Rafael.

Miron poczuł bolesny skurcz w żołądku i zobaczył, jak drżą mu ręce, natomiast Tania zrobiła się biała jak ściana.

- Dzieci, chodźcie tutaj! – zawołała matka.

- Mamy dwa wyjścia – mówił szybko Rafael. – Albo biegniemy jak najszybciej przed siebie, albo organizujemy obronę tutaj.

- Jakie mamy szanse? – Miron ze stresu miał problem, żeby nałożyć strzałę na cięciwę.

- Skupmy się lepiej na planie - odpowiedział jego przyjaciel, widząc nadchodzące dzieci. – Michel, Nadia, ile dacie radę przebiec?

- Ja do tamtego drzewa – odpowiedział chłopiec, wskazując odległy świerk. – Ja tak samo! – dopowiedziała jego siostra.

- Dobrze, na mój znak pobiegniecie w tamto miejsce tak szybko, jak potraficie – powiedział nauczyciel, starając się, by nie było słyhać, jak drży mu głos. – Nie wolno wam się odwracać ani zatrzymywać. Kiedy będziecie na miejscu, weźcie kilka wdechów, tak jak wam pokazałem i biegnijcie dalej, ale tym razem już połowę wolniej. Macie poruszać się cały czas na wschód. Zatrzymacie się dopiero, jak naprawdę już nie będziecie mieli siły. Jasne?

- Ale co się dzieje? – zapytał Michel.

- Nie ma czasu na wyjaśnienia! – uciał Rafael. – Macie robić co kazałem!

- Wiecie przecież, że trzeba słuchać, co mówi Rafael – Tania wsunęła za ucho córki niesforny kosmyk blond włosów. – Za chwilę do was dołączymy.

- Ale mam, ja się boję! – powiedziała Nadia, przeczuwając, że dzieje się coś złego i przytuliła się do matki.

- Nie ma czego – stwierdził Miron, jednak jemu samemu ze strachu dzwoniły zęby. – Rodzice są z wami i nic wam nie grozi.

- Dacie sobie radę – Rafael położył rękę na ramieniu chłopca i spojrzał mu w oczy. – Zabierz ze sobą siostrę i pilnuj jej dobrze! – Michel skinął głową, ale czuł, że coś wykręca mu wnętrzności. – Na mój znak biegniecie.

W trakcie rozmowy z dziećmi, Rafael cały czas miał wzrok skupiony na wielkim kształcie, który zatrzymał się niedaleko nich i teraz stał nieruchomo. Nauczyciel włożył nóż w zęby i położył strzałę na cięciwie.

- Jak już się ruszy z miejsca, celujcie w podbrzusze albo w stawy kończyn – powiedział niewyraźnie do Mirona i Tani. – Tam powinien być najsłabszy. Dzieci za mną! – Michel i Nadia ruszyli bez słowa za Rafaelem, a po kilkunastu krokach nauczyciel kazał im się zatrzymać.

Rafael odwrócił się w lewo i miał teraz cel dokładnie przed sobą. Plan był taki, odda on pierwszy strzał, po którym jaszczur powinien go zaatakować. Wtedy Tania i Miron ostrzelają go z flanki oraz odciągną w swoim kierunku, a dzieci będą mogły uciec.

Teraz nie było już na co czekać, więc Rafael przyłożył lotkę do kącika ust i wypuścił strzałę, która trafiła prosto w wielkie cielsko obserwującego ich potwora. Usłyszeli mrozący krew w żylach dźwięk, będący czymś pomiędzy sykiem węża i rykiem niedźwiedzia, a zza skały wysunął się olbrzymi jaszczur, mający skórę w kolorze mokrej gliny z czerwonymi i czarnymi plamami, rozsianymi po wielkim cielsku. Nie było wątpliwości – to był shagreen.

Potwór zaczął iść w kierunku Rafaela, poruszając się bardzo powoli, przypominając lowcę, który szykuje się, by zaatakować zniechęca swoją ofiarę. W tym momencie Tania wypuściła strzałę, a ta trafiła potwora w podgardle i odbiła się jak od kamienia. Za nią wystrzelił pocisk Mirona, który przeleciał nad shagreenem. Mimo to potwór zainteresował się rodzicami dzieci i zwrócił się w ich kierunku.

- Teraz! – powiedział Rafael przez zaciśnięte zęby. – Biegnijcie! – Michel i Nadia puścili się pędem we wskazanym kierunku, a nauczyciel naciągnął strzałę i wycelował w szyję shagreena. Uderzyła ona potwora z impetem, ale odbiła się, nie zostawiając nawet najmniejszego śladu. Tania posłała kolejne dwa pociski, trafiając w nogę i w ogon, lecz jedynym rezultatem jej ataku było to, że teraz gad wyglądał na rozszoszczonego, tylko jeszcze nie zdecydował, kogo najpierw zaatakować. Rafael z naciągniętą strzałą starał się znaleźć jakiś słaby punkt na ciele potwora, ale nic mu nie przychodziło do głowy, więc postanowił liczyć na łut szczęścia i po prostu wypuszczał jedną strzałę za drugą. Grad tej amunicji wyraźnie rozjuszył potwora, który zaczął iść coraz szybszym krokiem w stronę strzelca.

Buntownik wiedział, że jest już za późno, żeby coś zrobić, ale jeszcze odruchowo sięgnął ręką do kieszeni i wtedy w powietrzu świsnęła strzała, trafiając shagreena prosto w lewe oko. Potwór zawył przeraźliwie, zwijając się z bólu, tym bardziej, że zaraz za strzałą poleciał kamień, uderzając jaszczura w zraniony oczodół. Wściekły gad błyskawicznie odwrócił się w stronę atakujących, a Rafael w ostatniej chwili padł na ziemię, uciekając przed śmiercionośnym ogonem bestii. Nauczyciel ku swojemu przerażeniu zobaczył teraz Nadię, stojącą z łukiem wycelowanym w shagreena i Michela ciskającego kolejnymi kamieniami. Jaszczur, chociaż rozwścieczony, starał się zasłonić zranione miejsce, tak by nie dosięgły go kamienie Michela. Rafael domyślił się już, jaki plan mają dzieci. Wiedział, że to samobójstwo.

Z powodu odniesionej rany potwór poruszał się dziwnie, starając się ukryć głowę między wystającymi kamieniami, lecz mimo to coraz szybciej szedł w kierunku

dzieci. Gdy był już bardzo blisko, wypadł z za skały i z szaleńczą prędkością popędził w ich stronę. To wystarczyło Nadii.

Strzała dziewczynki trafiła go w drugie oko i tym razem utkwiała w czaszce potwora. Od wrzasku jaszczura z gór posypały się kamienie i pozbawiony wzroku gad rzucił się na miejsce, w którym stały dzieci, kłapiąc paszczą i machając ogonem na wszystkie strony. W tym samym momencie z góry zbiegł Rafael i uderzył shagreena całym impetem rozpedzonego ciała, strącając go w rozpadlinę skalną. Wszyscy krzyknęli z przerażenia.

Gdy nauczyciel otworzył oczy, poczuł potworny ból, rozsadzający mu klatkę piersiową i rozpoznał pochylone nad nim twarze Mirona i Tani, którzy o czymś rozmawiali. Po chwili dostrzegł także kłęczącego obok niego Michela. Nauczyciel uściśnął chłopcu rękę z najwyższym uznaniem. Na końcu spostrzegł zapłakaną Nadię.

- Uratowałaś nas wszystkich! – powiedział Rafael i stracił przytomność.

Tekst pobrany ze strony: <http://xmetelica.eu>

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone. Przedruk, cytowanie oraz wykorzystywanie fragmentów opowiadania dozwolone tylko za zgodą autora.